

139261

ZBIGNIEW ZANIEWICKI

„OBERSCHLESISIEN”

NIEPOWIEŚĆ



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Dubl. Nr 139261

4613

11/5 58

C. Hunt

OBERSCHLESSEN

„OBERSCHLESSEN“



VERLAG
KUNST- UND
WISSENSCHAFTEN
WILHELM
WILHELM

ZBIGNIEW ZANIEWICKI

„OBERSCHLESSEN”

NIEPOWIEŚĆ



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

A. 58065

4613

139261



dupl. 9514



1000171467

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

lit 13a

Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa, Warecka 15,

1930

~~1959~~ W 1162/68/137

„TERAZ SZCZĘŚLIWYM MIENIĘ I SIE-
BIE I SWOICH SPÓŁCZESNYCH, ŻE OCZY-
NASZE OGLĄDAJĄ POŁĄCZENIE SIĘ KRA-
JÓW OJCZYSTYCH W JEDNĄ CAŁOŚĆ,
A SZCZĘŚLIWSZYM BYŁBYM JESZCZE,
GDYBYM DOCZekał ZA ŁASKĄ BOŻĄ,
ODZYSKANIA I ZJEDNOCZENIA
Z POLSKĄ ŚLĄSKA...,

Z RADOŚCIĄ ZSTĘPOWAŁBYM DO
GROBU I SŁODSZY MIAŁBYM W NIM OD-
POCZYNEK”.

DLUGOSZ, ANNALES, 1466 R,

Przeszłym i przyszłym bohaterom Śląska
ten epizod z wojny o wyzwolenie ofiaruje
autor.

MAJOWE NOCE.

Koszarowy korytarz wyciągnął się w zmroku i zasnął. Pośrodku sufitu błyska pomarańcz zakopconej żarówki. Za oknami noc.

Oficer służbowy dawno już przebiegł kadeckie sypialnie. Przez drzwi wydobywa się na korytarz miarowy sapot oddechów. Pozatem cisza. Milczenie czuwa jak czapla na jednej nodze — wszystko śpi. Zegar potakuje gdzieś... gdzieś... Nie, to chyba miarowy, coraz gwałtowniejszy stukot zrywającego się po ciągu. Tak, ktoś... idzie... po schodach.

Z dokładnością olimpijskiego chronometru tętnią uderzenia podkutych obcasów. Czuć, że serce idącego porusza ten sam dzwoniący, żołnierski rytm.

Tupot nie spędził snu z kadeckich piersi znużonych defiladą, ale oto przebudził ściany korytarza, które w oburzeniu poczęły bić gwałtowne echa, jakby zagłuszyć chciały stalowy jęk podłogi.

To szef kompanji, kadet-kapral Pokłos wraca z raportu.

Przemaszerował korytarzem i za szklanymi drzwiami — tam, dokąd nie dociera światło lampki — przystanął; wyprężył się muskularnie i płuca rozpiął powietrzem, aż zatrzeszczały szwy zielonego munduru; poprawił ładownice... Był zadowolony z życia! Ha, gotówby się założyć „o nie wiem co“, że jest najszczęśliwszym z ludzi. Zadzwoił czołem o szybę i nocy — jak dziewczynie — zajrzał prosto w oczy.

Zarysy starych świerków przed gmachem „Korpusu“ wisiały jak stalaktyty w zmroku pochmurnym, ruchomym, pełnym księżycowych domysłów i majowego zapachu.

Pokłos szukał czegoś we wspomnieniach.

Z za kurtyny drzew wylaniały się postacie niegdyś widziane i defilowały tuż przed oknami budynku. Na czele czołgał się pierwszy żołnierz, zabity przez Pokłosa na lwowskim froncie; dalej wychylała się straszna, kosmata twarz żyda-karczmarza, powieszzonego za zatrucie studni; dopiero za nimi włókł się boso on sam, Pokłos, włókł się przez sen przerywany bitwami jak wtedy od Radzimina — naprzód!

Nie takich wspomnień — jednak — wypatrywał szef kompanji przez ciemne, wilgotne szyby; te — same wychodziły do niego z poza najbliższych dekoracyj, a może aż hen z poza muru, do którego tulił się blady z przerażenia, zorany granatami, zabronowany przez szrapnele — cmentarz Stryjski. Pokłos szukał w spojrzeniu tej nocy wzroku Naczelnika — Wodza, wzroku, który zatonał w nim dziś, przy defiladzie.

Niezapomniany to był wzrok: siwy, cichy, przezroczysty, ledwie nieuśmiechnięty, a budzący taki zapal i trwogę, że on, szef... nie mógł udzielić karabinu pionowo i — o zgrozo! — na czele kompanji... na prezentuj broń... zadrżał.

Teraz przypomina to sobie, powtarza w pamięci i szuka tego wzroku, aby zapytać go raz jeszcze: cóż pomyślałeś, Wodzu, widząc, że karabin i ręka drżą przed tobą? Czy myślałeś, że z lęku, czy ze wzruszenia, czy z miłości może? Nie, — myliłeś się — to krew sama we mnie drżała: drżała z dumy, że ma takiego wodza!

Skrzyp otwieranych drzwi zbudził Pokłosa z rozmyślań. Ktoś widocznie szedł do umywalni. Spojrzał, — to jeden z „modliniaków“ ostrożnie stąpał bosemi nogami, nasłuchiwał, jakby się skradał, i obciągał za krótką koszulinę, bo chłód wiał przez korytarz.

Szef kompanji obserwował odniechcenia cień idącego. Cień ten, złamany we dwoje, rękoma dotykał ścian, gęstniał, kurczył się, a przy omijaniu pomarańczowej lampki zatoczył półokrąg — poczem wydłużył się, wyrósł jak drzewo i runął w drzwi łazienki. Nie upłynęło pół minuty, gdy druga postać wysunęła się z sypialni, za nią trzecia... piąta i wszystkie szły tą samą drogą. Pokłos stał za oszklonemi drzwiami korytarza, gimnastykował brwi i bawił się w różne przypuszczenia.

Zapewne będą się uczyć przed końcem roku — pomyślał, ale wnet znalazł odpowiedź: szli przecież bez książek.

A może będą grać w karty? — monologował dalej.

I znów negacja: w umywalni? chyba na kamiennej posadzce.

Umywalnia ta musiała być już pełna, gdy drzwi jej wreszcie zamknięto. Szef szperał w postanowieniach, jak w torbie pełnej naboju. Jedno było pewne: musiał wiedzieć, co się dzieje w „jego“ kompanji nawet o północy. Nie chciał podsłuchiwać, broń Boże! Wejść wprost? — I to nie. Jego widok przerwałby narady i rzucił postrach na zebranych. Nigdy! — Byli to przecież jego koledzy...

Do wyszukania decyzji dopomogli mu sami spiskowcy. Ich początkowe szepty przeszły w głośnie rozmowy. Szef wprawdzie starał się ich nie słyszeć, ale pojedyncze słowa wybiegały przez drzwi i huczały po wszystkich kątach, jak osy wypuszczone z pod szklanki.

Będą hałasować, póki ich nie rozpędzę — gniewał się, ale otoczyły go nagle ciepłe objęcia zmęczenia. Machnął ręką i mruknął senny:

„Ofermy! — niech ich tak Grubas przyłapie“.

Już był gotów do odejścia, gdy stanął, powstrzymany. Odklask jednego słowa, przebiegając korytarzem, potrząsnął nim brutalnie.

„Górny Śląsk!... Górny Śląsk!“ — grało mu w uszach... Natężył uwagę.

Z łatwością poznał tubalny, przesadnie modulowany głos Rusznicy:

— Tak, kochani koledzy, Polsce zależy na wychowaniu dobrych oficerów. Pamiętajmy, że, uciekając ze szkoły, przełamujemy subordynację, plamimy nasz

mundur, a za to usuwają z Korpusu raz na zawsze. Polska z pewnością na tem nic nie zyska. Zresztą, wojsko ma zakaz brania udziału w powstaniu. I słuszenie: — niech Ślężacy walczą o swą wolność, ale nie my, uczniowie szóstej klasy. W powstaniu nie odegramy żadnej roli, a dla Polski po powrocie będziemy tylko ciężarem.

Jak ten Krakowiak, psiakrew, bez ceremonji zęby sobie Polską czyści — pomyślał Pokłos głośno.

Część zebranych była zdania Rusznicy. Najgwałtowniej sprzeciwiał się temu zapatrywaniu Staniszejtis, zwany w koleżeńskim życiu „Boćwiną“. Jego rozjąkany głos nabierał chwilami dużego rozmachu:

— A tak i uczyli my o podchorążych, co poszli ku Belwederu i jejbogu płakał ja niejeden raz, że nie mógł z nimi iść w powstanie. Nie bójcie się, ucieczewszy, przydamy się na coniebądz. Choć szósta klasa, no dużo jest 18 lat mających albo i 19. Jakby to nie było, my w pułomiotach znamy się, a co komu z naszej oficyrskiej kariery? Wiadomo, co dużo było ich jenerałów, to senatorów, to biskupów za saksońskich królów, a o nich ni słychu teraz; ano, tak o podchorążych dużo w książkach pisano — jejbogu — dużo!

Nie wszystkim w smak poszły te słowa. Jedni wyśmiewali uczoność przemówienia Boćwiny, który nie mógł uborykać się z dwóją „historyczną“, inni znów uważali, że tacy kadeci jak on rzeczywiście więcej się przydadzą do czyszczenia armat, niż do nauki w Korpusie. Autorytet stronników Boćwiny obniżało to, że pomiędzy nimi byli kandydaci na „wylanie“, np. taki

Kręciuch, handlujący czem się zdarzy, Bartniczek, sławny ze spania na lekcjach, albo elegant Lech Mieszkowski, przyłapany przez kapitana Strzępa na balu bez przepustki i to... z cygarem w ustach, a co najgorsze podczas flirtu z samą panią Strzępową. Obok nich jednak — jak dla kontrastu — stanęli najgodniejsi z kompanji: Heniek Czekaliński! Zbych Pszczółkowski! Karol Chodkiewicz! Zakrzewski! Zaszczyński!

Przeciwnicy nazwali delikatnie grupę Boćwiny „nie-mądrymi patryjotami“ — wszyscy jednak rozumieli, że należy zachować solidarność: albo cała klasa „wyrывa“ hurmem na Śląsk, albo cała pozostaje. Właśnie tej nocy należało to rozstrzygnąć. Proponowano wybrać trzech delegatów, którzyby porozumieli się ze sobą, a decyzja choćby dwóch z pomiędzy nich obowiązywać miała całą kompanję.

Jako swego delegata „mądry“ wybrali Rusznicę, delegatem „niemądrych“ został Boćwina. Toczono walkę o osobę rozstrzygającą.

Pokłos nie mógł dłużej wystać na korytarzu. Pchnął drzwi i wszedł dzwoniącym krokiem do umywalni.

W pierwszej chwili cisza... otwarte usta.

Szef jednym spojrzeniem obiegił wszystkich. Stali na kamiennej posadzce boso, w koszulach. Mieli wypieki na policzkach, światło w oczach.

— Idź, wygadaj Grubasowi, żeś nas przyłapał, — idź! Jutro możesz nas wszystkich stawiać do karnego...

Stracili już obawę przed swym szefem, który chociaż był najlepszym kolegą poza służbą, podczas pełnienia swej funkcji domagał się (ale to domagał!) bezwzględ-

nego posłuszeństwa. Był szefem kompanji nie na żarty!

Nawet „modliniaczy“, przeniesieni do Lwowa za nie-subordynację, ugięli się przed stanowczością Pokłosa, przezywając go wprost: „Postrachem“.

Ale też I-a kompanja miała się czem pochlubić! Któżto szedł na czele każdej defilady, może te dryblasy z 7-ej? Kto to błyskał tak słońcem na czapie lub karabinem, że nawet w nocy robiło się jasno? Wiadomo, I-a kompanja nadawała ton całemu Korpusowi — była naprawdę pierwszą!

To też „szóstakom“ wszystkie kompanje zazdrościły takiego szefa, tylko jego podwładni — sami — starali się, czem mogli, uprzykrzyć mu służbę.

Konspiratorzy, zebrani w umywalni, ujrzawszy wchodzącego służbistę z ładownicami na pasie, widzieli w nim nowego przeciwnika swych zamysłów.

„Mądrzy patryjoci“ z Rusznicą na czele — przeciwnie — odrazu zaproponowali go na trzeciego delegata. Mieli na uwadze jego szarżę, jak również i to, że był on dobrym uczniem, a „taki nie zechce psuć sobie opinji u profesorów“. Boćwina, a przede wszystkim „poeta kompanji“, Heniek Czekaliński, nie chcieli o tem ani słyszeć... Zwolna, jednak, musieli ustępować przed sprawiedliwością własnego rozsądku. Wierzyli bez zastrzeżeń w prawość myśli oraz czynów swego szefa. Wiedzieli, że tylko on jeden nie jest dotąd zaangażowany w żadnej partji, tylko więc jego sąd będzie mógł być naprawdę bezstronny. Przeważył ostatecznie argument, że wciągnięcie szefa kompanji do spisku sprawie

samej nada większej powagi i zakończy obawy o uprzedzenie dowództwa Korpusu.

„Postrach“, dotąd spacerujący uśmiechniętym wzrokiem po twarzach kolegów, z powagą przyjął wybór na „trzeciego delegata“. Od tej chwili stawał się osi schadzki i oczy wszystkich obracały się jak kółka zębate wokół jego spokojnej, dużej, może za dużej twarzy. Potem zażądał ułożenia umowy i podpisania jej przez obecnych.

Rusznica zacierał ręce z upojenia. Boćwina językiem mieszał gniew w ustach, widział bowiem, że machinacje przeciwników odniosły już pierwsze sukcesy.

Szef kompanji stanął pośrodku, zygzakiem spojrzenia przekreślił umowę, schował ją do kieszeni i, z szybkością pianisty, liczącego klawisze, prześlizgnął się wzrokiem po twarzach wychylonych z koszul, mówiąc swym szeleszczącym, jak papier, krótkim głosem:

— Teraz... wszyscy... pójda... spać. Nie potrzeba tu żadnych konferencyj, żadnych plebiscytów. Kolega Rusznica chce pozostać w Korpusie, kolega Staniszejtis iść na powstanie górnośląskie, a ja rozkazuję na podstawie podpisanej przez was umowy: idźcie spać!... Już późno, za pięć godzin zbiórka na modlitwę. Dziś wieczorem, po kolacji, każdy z was przejdzie przez muręk na cmentarz Stryjski, a stamtąd — zakończył zdanie zupełnie głośno — grupami na pociąg do Zimnej Wody. Weźcie na siebie zielone koszulki, a do kieszeni wszystkie posiadane pieniądze. Żadnych bagaży!

Po pauzie dorzucił jakby odniechcenia:

— Proszę o tem więcej nie rozmawiać i zaraz spać! Rusznica, a z nim kilku „najlepszych uczniów“ za-protestowało.

— To podstęp! — wołał Rusznica.

— Kadet Rusznica stawia się dziś do karnego raportu! — rozkazał szef z całym spokojem i wyszedł.

Nikt się już nie odzywał więcej. Poszli spać.

Nie przypuszczali nawet, że w nim — Pokłosie — pod maską niezmienną, surową twarz o zrośniętych brwiach — huczała taka burza. Jakże oddawna walczył ze sobą, aby się przemóc, rzucić wszystko, i iść! Toć ojciec jego, wygnaniec z tej ziemi prapolskiej, jeszcze na chwilę przed śmiercią nakazywał mu o niej pamiętać. On sam — zresztą — choć znał Śląsk tylko z opowieści, w Hajdukach przyszedł na świat. Wstyd rumieńcem oblał mu sumienie.

Kraj opowiadań ojca: ciepłe zmroki sosnowych lasów, drogi umajone dojrzałymi owocami grusz, chaty pachnące świeżo upieczonym chlebem i te stroje barwne jak niebo o wschodzie — to wszystko razem, ta cała legenda o polskim Śląsku miała się oto urzeczywistnić wkrótce, — ożyć!

Serce w nim łopotąło jak sztandar na wietrze: pójdę, pójdę...

* * *

Równe, jak ekierką wyrysowane, trzy linje: słońca, ładownice, kolby karabinów. Zbiórka Korpusu na boisku.

Wielki gmach szkolny, naznaczony w wielu miejscach śladami bitew o posiadanie Lwowa, zdaje się też wyprężyć na baczność.

Droga do słońca zatarasowana chmurami. Na dole cisza zupełna — drzewa stoją jak kadeci na prezentuj broń — a tam, w górze, tłum się wdziera na barykady, tam orkan przewraca miasta i rozdmuchuje czarne morza.

Nad kamiennym szeregiem kadetów kotłują się spiętrzone myśli. Usta chłopców wpółotwarte zdają się pytać: czy idą już? czy już ich prowadzą?

Oficerowie przed frontem czują się źle. Kiwają głowami, milczą. Na wysokich stopniach budynku stoi pułkownik nieruchomy, w płaszczu do samej ziemi. Z odległości wydaje się on ponad ludzką miarę. Oczy ma zamknięte, ale widzi wszystko — nawet myśli kadetów.

Wtem, jakieś głosy za bramą. Stukanie nierównomierne kilkunastu par butów. Już ich widać na rogu gmachu: żandarmi na przedzie, za żandarmami kadeci-uciekiniery, ztyłu — znów żandarmi.

Winowajcy stanęli przed frontem swej kompanji. Koledzy, ci i tamci, spojrzeli na siebie bez gniewu, bez wyrzutu, bez szyderstwa, aż ci — w błyszczących kaskach — zazdrościć poczęli dezterterom brudnych, zielonych koszul i wstydzili się, że stoją nie po ich stronie, ale naprzeciw.

Żandarmi — widząc, iż rola ich zakończona — odeszli do kancelarji.

Dowódca Korpusu stanął przed frontem.

Przeciągnęła długa jak tor kolejowy chwila, zanim odezwał się do nowoprzybyłych:

— Gdzie schwytani?

Pokłos, widząc, że wszyscy czekają na jego głos, odpowiedział:

— W Krakowie.

Pułkownik zamyślił się, ręce założył do tyłu, ramiona nasunął na kark i zwolna, stanowczo wydusił:

— Dacie mi słowo honoru, że ucieczka się nie powtórzy, albo wszyscy... do paki!...

Uciekinierzy odetchnęli: przecież nie usuwają ich z Korpusu. Tego obawiali się najwięcej. Wszystkie oczy zwróciły się na Pokłosa. Oficerowie dawali znaki swemu ulubieńcowi, aby dziękował dowódcy, kadeci, którzy pozostali w Korpusie, zapomnieli o silnej ręce „Postracha” i uśmiechali się doń życzliwie, nawet najzawistniejsi byli radzi, wiedząc, że zwiększenie kary podniosłoby tylko autorytet Pokłosa.

Szef kompanji — ten, który dotąd był wzorem ślepego, zda się, posłuszeństwa — wymuskulił się jeszcze silniej na baczność i wzrokiem odpowiedział. Dowódca zrozumiał, ale chciał posłyszeć głos: — skinął.

Słowa odpowiedzi były proste, jak szeregi kadetów w defiladzie:

— Przepraszamy za kłopot, dziękujemy za łagodną karę i prosimy o zamknięcie nas do aresztu.

Zachwiał się front kadetów, oficerowie pootwierali usta, nawet uciekinierzy spojrzeli po sobie.

Jeden dowódca nie dziwił się niczemu. Przywołał kaprała Ciomka i kazał mu wszystkich „nieposłusznych“ porozmieszczać w celach aresztu.

* * *

W małej, wąskiej klatce siedzieli we dwóch: Pokłos i Czekaliński. Oddawna już czuli do siebie jakąś urazę, chociaż nie wiedzieli dobrze skąd ona i o co. Obaj byli ambitni, obaj nosili w sercach szerokie plany przyszłości, ale gdy Pokłos znalazł uznanie zwierzchników i został szefem swych kolegów, Heniek — przeciwnie — nie był lubiany przez profesorów. Wreszcie — od czasu, gdy por. Piguła wyśmiał jego poezje przed całą kompanją — chłopak chodził jak Gustaw z IV części Dziadów. Gadał sam ze sobą, lub całemi godzinami siedział „mrukiem“ i czuł coraz silniejszą niechęć do szczęśliwszego „rywala“. I teraz oto musieli spojrzeć sobie twarz w twarz.

Żle im było początkowo tak razem. Udawali śpiących, lub próbowali stukaniem w ściany porozumiewać się z kolegami.

Dopiero po obiedzie, zjedzonym z jednej menażki, wypadało coś sobie powiedzieć. Szło im to niezgrabnie. Obaj swe przemówienia okraszali mnóstwem grzeczności, których zwykle wstydzili się, przyzwyczajeni do żołnierskiej prostoty. Wreszcie, myśli ich spotkały się przy ucieczce na Śląsk.

— Wyprawa nie udała się — tłumaczył Pokłos — bo jechało nas za dużo naraz.

— Zgoda, ale partja Pszczółkowskiego, co po nas związała, też była liczna, a przecież jej całej nie chwycili, — rzekł Heniek opryskliwie i wnet dodał — trzeba było wysiadać w Podgórzu i do Krakowa walić na dyrdę, zamiast pchać się prosto w łapy kanarom Andryszczaka...

— I to prawda — przytaknął szef kompanji, chociaż był to zarzut skierowany przeciwko niemu. Aby zatrzeć niemiłe wrażenie, odpowiedział tylko: — Teraz, gdy wydobędę się na wolność, będę wiedział, którędy mam iść.

— I ja będę wiedział niegorzej — wygłosił Heniek buńczucznie, jakby w słowach kolegi dopatrywał się zarozumiałej pewności siebie.

Narzuciła się chwila milczenia i, jak dobre słowo, zbliżyła ich do siebie. Zmrok schodził po ścianach jak po drabinie coraz niżej, aż uwalil się koło nich na prycy, pod pryczą, wszędzie.

Było chłodno. Usiedli przy sobie na deskach, owinęli się kocem, który im przyniósł kaprał Ciomek, i wpatrzeni w szary, przekrzyżowany prostokąt okienka — myśleli.

— A może tak machnęlibyśmy we dwóch, co? — zagabnął Heniek towarzysza tonem, jakim wyzywa się na pojedynki śmiertelnego wroga.

Pokłos zdawał się nie słyszeć, ale — gdy Heniek już miał pytanie powtórzyć — odpowiedział:

— Razem? bardzo chętnie, ale boję się, że trudno będzie między nami o zgodę.

— To i co? — właśnie na tem wyjdziemy ef-ef, bo ja

zechcę na lewo, wy na prawo — i pójdziemy samym środkiem.

— No dobrze — zgodził się Pokłos — byle tą środkową drogą zajechać na powstanie.

— Ho, ho, na powstanie, a może i dalej jeszcze — dodał tajemniczo Heniek — bo ja... — tu zająkał się, ale wnet zhardział, i głosem, jakim ksiądz Robak przyznawał się Gerwazemu do swego imienia, wyrzucił — bo ja mam dosyć życia, ale nim zginę, muszę krzyż zdobyć — rozumiesz? — muszę!... — A po chwili szepnął jak przez sen: — Virtuti militari...

Dreszcz skrzydłem nietoperza przeleciał po izbie.

Pokłos pod ciężarem słów ugiął głowę i przeżegnał się w duszy. Wiedział, że ten poeta o czarnych, nerwowych oczach i szczupłej twarzy nie żartuje.

Dzięką ich wprowadzie od nieprzyjaciela jeszcze setki kilometrów, ale już wkrótce mogą być tylko metry lub kroki, aż przyjdzie chwila, że piersi z piersiami się zderzą jak bufory, aby zgnieść ostatnie centymetry odległości, aby przeniknąć się, złączyć w jedną bryłę walki, której rozkazuje straszna generalica o zębach-bagnetach, o maszynowej kosie pocisków: Ona! Śmierć!

I, gdy tak siedzieli wpatrzeni w więzienne zakratowane okienko ze skrawkiem nocnego nieba, nagle wydało im się, że widzą kwadratową, nakrzyż rozłupaną głowę, której oczy mrugają do nich gwiazdami. Bezwiednie chwycili się za ręce.

Przesiedzieli tak całą noc skuleni i zasłuchani w głosy swoich rozmyślań. Heniek był zapatrzony w błękitną wstążkę i srebrny, niepozorny krzyżyk. Marzyło

mu się, że przez okno wysuwa się koścista ręka z generalskim mankietem i przypina mu krzyż do piersi, aż krew wytryska z pod agrafy, aż krzyż sam poczyną rosnąć... rosnąć z piersi coraz większy, jak ta krata w oknie, jak... rozłożysty znak na żołnierskiej mogile.

A Pokłos marzył o tem, aby jego Śląsk ojczysty udekorował Polskę na wieki!

Myśli ich spotykały się ze sobą na okopach, szczekających kulami, i na zasiekach kolczastych, zrywanych piersiami zwycięzców, jak taśma na mecie.

Jakże odmienne sny przeżywali austriaccy kadeci, po których na suficie aresztu pozostał jeszcze napis wyzuty z godności:

Kadet ohne Arrest

ist wie ein Vogel ohne Nest,

a na ścianach cała serja rysunków niby rozpustnych, a właściwie mdlących, jak widok psa, zlizującego flegmę.

* * *

Dwaj cywile spacerowali po parku w Łobzowie. Przeważnie milczeli. Kasztanowe, cieniste aleje milczały też. Południe było soczyste, jak plamy słoneczne, kapiące z liści w gęsty, świeży mrok.

Ileż tu wspomnień! Jeszcze rok temu, zanim Korpus przeniesiono do Lwowa, uczyli się tu, w Kazimierzowskiim pałacu.

Tu, na tym placu odbywały się karne ćwiczenia, tam Pokłos zboksował kolegów, którzy napadli go więczo-

rem, pod tem drzewem staruszek - lekarz podczas meczów oczekiwał z noszami na poranionych graczy. A wzgórze Esterki, na którem podobno Kazimierz obiecał swej faworycie przywileje dla narodu bez ojczyzny! A murek, z którego kadeci wyprzedawali rodaczkom Esterki części ubrania za papierosy i za pestki! A kręgielnia, a przeszkody do biegów, a basen, a podwórze!

Tylko trawa tu wyrosła jakaś dziwna, soczysta, niedeptana i kasztany zakwitły całemi drzewami, jakby gołębie obsiadły wszystkie gałęzie.

Jacyś nowi ludzie — rodziny oficerów — mieszkają teraz w podkrakowskim pałacu i nie wiedzą o tem, że każdy zakątek parku zaszył się już głęboko w pamięć setek i tysięcy kadetów, którzy przechodzili przez Łobzów od dawnych, jeszcze cesarsko-królewskich, czasów.

* * *

— Ale się nam udało — zacierał Heniek ręce w pustym przedziale.

— Nie mów hop — uspokajał go towarzysz — dopóki nie przejdziemy granicy.

— Co mi tam granica, kiedy pociąg gna... — tu zamyślił się poetycznie — jak młodość, jak sen o szczęściu, jak...

— Jak piłka tenisowa — wyręczył go Pokłos.

Heniek nie zważał na obecność kolegi i mówił sam do siebie:

— Ledwie pociąg ruszył z Krakowa, a już gna na potęgę. Co za szczęście taki pęd!

Pokłos powód radości określił prościej: — wesoło nam, bo mamy kilkadziesiąt marek w kieszeni. Wprawdzie to niedużo i ledwoby na dobry obiad starczyło... — bagatelizował.

— Ale dobre i to — wpadł Heniek w myśl kolegi. — Łajdak Ciomek zdarł z nas za te cywilne łachy, że gdyby nie ranny Ślązak, dyrdalibyśmy chyba na piechotę do Sosnowca.

— A widzisz — wymawiał mu Pokłos — nie chciałeś iść do Czerwonego Krzyża, a teraz sam widzisz, co są „zaś Ślązocy“. Sam nie może walczyć, to chociaż innym dopomoże. Pamiętasz jego słowa: „Mosz walute — pieronie — idź, pomszczaj moja rana!“?

— Tak, tak, twardy to naród i uparty — kiwał Heniek bujną, rozstrzęsioną czupryną w takt szarpnięć pociągu — twardy jak rozpacz, jak samo życie.

— Czego ty chcesz od życia? Powiedz: twardy, jak kask szturmowy, to zrozumieć — gniewał się Pokłos.

Lokomotywa domyślała się widocznie, że kadeci jadą za normalne, opłacone bilety, bo nie żałowała fatygi i wieczorem wtoczyła się zasapana, rozgulgotana, jak zły indor na stację Sosnowca.

Noc włóczy się po mieście. Kałuże: psy głodne słońca, wyjące w ciemnych ulicach! Latarnie: krzyże bez ramion, pale, na których w męczarniach konają noce miasta! Pusto tu, brudno, północno. Po czaszkach bruków oślizgłych i milczących biegają jak koty spragnio-

ne żeru i księżycu — szyldwachy ulic: dziewczyny, pachnące karbolem.

Pokłos z Heńkiem chodzili, — chodzili przyduszeni zmrokiem z buntem i płaczem w sercu.

* * *

Jest właśnie dzień Bożego Ciała. Ulice Lublińca, świątecznie wysypane słońcem, zdają się cieszyć szczęściem ludzi. Niebo nie oderwało się jeszcze od ziemi i—wsparte na wieżach kościołów—błękitnemi oczyma spogląda na świat.

Po ulicach, na rynku, przed kościołem roją się dziewczęta. Migocą ich różnobarwne sukienki w desenie z kwiatów, jak żywe bukiety z bajki o zaczarowanym ogrodzie. Nagie ramiona, wycelowane przez słońce, zalotnie wdzięczą się z bufiastych, krótkich rękawów. Słabo, niezręcznie rozmawiają po polsku, ale po niemiecku nie odezwie się z nich żadna. Czują zapewne, że język polski nie profanuje ciszy tego miasta, że szeleści on jak pola żyta i pszenicy, wykarmione śląskiem niebem i śląską próchnicą, że grzmi on jak organy w kościołach i rozlewa się pieśnią nabożną, niczem ów bór tysiącletni, gwarzący z Bogiem o przeszłości.

O, jakże miło jest uczyć się tego języka z nazw okolicznych wiosek, nazw, mówiących o dawnej, piastowskiej miłości lasów: Jawornica, Wierzbie, Brzezinkowo, Kochanowice, no i sam Lubliniec, „do którego niegdyś przyjeżdżał na łowy“ sam Władysław Opolczyk — prawnuk Krzywoustego!

Ci, którzy teraz dopiero poznali język polski, dziwili się, że byli dotąd ślepi i głusi, że dla nich takie nazwy, jak Dziewczagóra lub Podleśna, były tylko niezrozumiałymi dźwiękami, że ich własne nazwiska: Kolano, Piechota, Śpiewak, Mrugała, Brzezina — były im dotąd obce. Teraz, dopiero, zdają się przemawiać do nich — poprzez wieki całe — protoplaści ich rodzin, nazwiska pęcnieją, nabierają treści dawnej, jak ten lud autochtonów łagodnych, cierpliwych, pracowitych, lecz twardych i wrośniętych w glebę jak dębowe korzeniska.

Kasztan i klon — stare rozłożyste drzewa, osłaniające na rynku figurę świętą — podparte palami, ściśnięte obręczą: to pomniki polskości tej ziemi, zielone sztandary Piastów, wetknięte w rynek miasta!

I kościół jest polski, dawny, tchnący ciszą modlitwy, z hełmem na wieży, jak rycerz, idący na krucjatę z kłamstwem i obludą. A na hełmie krzyż, co już od sześciu i pół stuleci z tego miejsca błogosławi wzgórze, doliny, strumienie!

Z zielonej kąpieli drzew wypływa stary, piastowski zamek. O, gdyby jego ściany, oprócz uszu, miały i usta, ileż to historyj mogłyby nam powtórzyć! Ileż szczęków broni i rycerskich rozkazów, ile jęków z więzieni ciemnych i wilgotnych?!

Oprócz kościoła i zamku wiele, wiele pamiątek szarych, zakurzonych niepamięcią, ukrywało się dotąd po kątach i zaułkach Lublińca. I teraz, oto, wszystko to razem wychodzi na słońce, otwiera gębę i krzyczy i za rękaw chwyta przechodniów swoją polskością, swoją przebudzoną sławą!

Na cóż się więc zdały w Lublińcu sześciowiekowe wysiłki germanizacji? Gdzie niegdyś wisiał szyld „Franz Saionz“ — dziś wielkie litery krzyczą: „Franciszek Zajac“, hotel „Schwarze Adler“ zniknął z rynku i już po krzyżackich zamachach. Polskość, zda się, bije z każdego kamienia, jak rzeka górską, co zerwała sztuczne tamy, jak krew ziemi z rozciętej tętnicy!

Pokłos z Heńkiem rozglądali się ciekawie po mieście i nie mogli nakarmić się dowoli ani widokiem takiej bezwzględnej — a przecież pełnej życia — ciszy, ani odgłosem takiej słonecznej wrzawy miasta. Wreszcie, głodni i spragnieni wpadli jak dwa гаранaty do kawiarni, napotkanej na rogu.

Owiał ich miły chłód i kwaśny smak piwa. Przy stolikach — nakrytych obrusami w biało-czerwone kraty — siedzieli goście-powstańcy. Pośrodku rozkraczał się bilard, na którym kto chciał wyzyskiwał prawa reakcji i sprężystości. W drugim pokoju podpierało ścianę stare pianino, a obok, na stoliku, gramofon, nakręcany właśnie przez jakiegoś powstańca.

Między stolikami uwijało się dziewczę w czarnej „dirndel“, nakrapianej różowymi kwiatkami. Obcisły, gorsetowy krój sukienki, bufy, z których wynurzały się nagie ramiona, wszystko to dziwnie harmonizowało z jej zadzierzystym, dziewczynskim uśmiechem, czającym się w dołeczkach twarzy, i z jej blond włosami, zwiniętymi na policzkach niby wianuszki z kłosów. W szarym natłoku ubrań jej białe, żywe ręce pływały jak srebrne ryby w jeziorze. Dziewczę nie chodziło, ale fruwało między stolikami, rzucało kufle pełne chłodu i piany

przed gośćmi i śmiało się, gdy jej kto klasnął nad uchem albo przytrzymał w przelocie jej dłoń ruchliwą, jak żywe srebro.

To Niemka-Górnoślązaczka — Truda Kochanetz: Madelon bywalców „Gasthauzu“. Znała tylko kilka słów: piwo, chleb, kiełbasa, lecz mówić po polsku nie umiała. W wigilję wybuchu trzeciego powstania przybyła tu dopiero z Opola, a że była odcięta od rodziny — chwyciła się pierwszej lepszej pracy. Rozkoszowała się samodzielnością i nowem, niespodziewanem życiem; radowała się własnem zdziwieniem, że powstańcy — ci z „polnische aufständische Bande“ — nie są wcale zbrodniarzami, jak dotąd myślała, ale bardzo uczynnymi, dobrymi i wesołymi chłopcami...

Gdy weszli kadeci — niski, kędzierzawy Ślązak pokroczył ku nim.

— E, buksy pierońskie, co zaś sztalujeta?

— Czego chcecie? — Szampana? — odpytał się Pokłos tym samym wesołym tonem.

Obecni, nagle oburzeni, rzucili się ku niemu zwartą ścianą.

— Gidy zapieruchowane!

— Włodki!

— Kopruchy góralskie! — wołali, wygrażając pięściami w powietrzu.

— A wy coście za jedni? — spytał Pokłos suchym, wystygłym basem.

Trzasnęły w stoły:

— Mychmy som pierońsko siła powstańczo i szlus, nie pytać!

Tłok zrobili wokół przybyszów.

— Koleksy — grzmotnął nagle jakiś starzec, wciągnięty przez Trudę do sali — skiz czego tak łosprowiata?

— Chcielibyśmy tych popśniołów weg wyciepić — rzekł jeden.

— Te farony nas od szymponów przeżywią!

— Pomstujom se zaś — pieronie! — wykrzykiwali inni.

— A jo wam jeno tyła padom: ciście cudocy, dyc przeca u nieich szympon co inksze bydzie.

— Richtik stary Opiel gadajom — uspokajali starsi — dejcia pozór, bo bydzie blamaża.

— My też jesteśmy Ślązacy — rzekł Pokłos, widząc zakłopotanie, rozmazane po otaczających go twarzach.

Powstańcy zezem rzucali do siebie, jak fałszywym fenigiem, a gdy między ich sine, kopalniańskie twarze sfrunął śmiech Trudy, byli znów w pienistych humorach, oklepywali niedawnych wrogów i zapraszali ich do dziesięciu — naraz — stolików.

— Prawdo... prawdo — mamrotali pod wąsami — samo kłapacka się nam ozwierła.

Rozsiedli się znów pod ścianami, gęby pozawieszali nad piwkiem i mruczełi zadowoleni z siebie, tylko Opiel — dziadyga wyszargany i postrzępiony, jak stara książka do nabożeństwa — ciągiem im przymawiał:

— Wszandy te zberezienstwa, wszandy. Dyc ino gawrony, a zaś dziolchy wsiowe co poredzą tak kraczyć. Wdycki, pomintajta — wdycki, iżechmy ślązackie powstańce som!

Stary się szarpał, jakby kogoś bił po gębie.

— Dębczoka ucapna, a zaś mazna pierucha, kiery sa lapserdocy i jakech... Opiel jest...

Tu zachłysnął się słowami, których miał pełne usta i kasłał...

— Mo klepki stary borok, mo... — gadali między sobą, potakując palcami i nosami, a ktoś nawet zanucił półgłosem:

— Nie znom Górola, ani Włodka, ani Ślązoka
alech znom tyko brata-Poloka.

— Ja, ja, richtik śpiewujom...

Po kilku gościnnych kolejkach Heniek zapomniał o wszystkim i począł uganiać się za Trudą, prosząc ją o dwa ostatnie piwa. Uciekała ze śmiechem swawolnym, i, zanim zdołał ją pochwycić, już olbrzymie wazony piwa musowały na stoliku przed Pokłosem.

— Niech żyje „Gasthaus Schloss Nudeltopf“! — wołali jacyś goście.

— Niech żyje Miss Truda! — poprawił Heniek i nie przestawał gonić — teraz tylko wzrokiem — za jej giętką, rozfalowaną postacią.

Przy wymijaniu stolików, przy zwijaniu się i rozwijaniu wśród gości, przy rozdawaniu kawy i piwa, nigdzie nie zapomniała o swym blond uśmiechu, który był dla tych kopalniaków zatwardziały słodszy, niż marmolada, lżejszy niż piana z piwa, a chwilami upający jak konjak.

Wszyscy znajdowali się pod urokiem Fräulein Trüdchen.

Stary gramofon gwizdał przez zęby jeszcze starszych płyt „Komm mein Schatz...” i trzeba było prawdziwego patriotyzmu, aby po pijanemu nie zawtórować w takt tej ulubionej melodji. A jednak Górnoślązacy milczeli głucho i tylko się uśmiechali po swojemu nie-wiedzieć do kogo i nie wiedzieć, smutno czy wesoło: ot, tak po swojemu.

Heniek już od 10 minut coś wiercił, brzdąkał, wiązał w rozbitem pianinie, aż uparte, kanciaste oczy węglarzy coraz częściej spoglądały na jego drobną, kościstą postać i na wytężone przy pracy ręce.

Trudę najwięcej obchodziło, czy ten niepozorny, szary chłopiec potrafi coś wybrzdąkać, to też śmiała się całemi dołeczkami, gdy Heniek zasiadł do instrumentu z poważną miną.

Czarne jego włosy rozwichrzyły się przy pracy jak postrzępione skrzydła kruka na wietrze. Usta zacięte, wyraźny, wąski nos i ręce drobne — cała postać wchylona dotąd w siebie — nagle wyrosła, zwielfmożniała i spadła na klawisze całym ciężarem.

— Madelon, Madelon!

Zaczął od refrenu i odrazu poderwał słuchaczy gwałtownością uderzeń.

Podniosły się z nad piwa kwadratowe i twarde, jak bryły węgla, gęby powstańców, aby spojrzeć po sobie.

Hej, coś się spieniło tym wojakom pod sercami, coś aż w łydkach zabulgotało. Chce się im kajsić iść i kłupać goździatami butami Parade-marsz. Chce im się śmiać jak trąpeta, jak całka orkiestra!

— Madelon, Madelon, Madelon!

A instrument, naprędce nastrojony, huczał, nawoływał, śpiewał, a czasem zafalszował jak schrypnięty marszem głos żołnierza.

Truda tarmosiła swe ręce, bo dotąd nie słyszała takiej porywającej melodji. Coraz częściej wybiegały z niej spojrzenia i tonęły jak motyle niebieskie w głębokich, bezdennych oczodołach Heńka, wpatzonego w nią, jak w nuty bohaterskiej piosenki. I jak te nuty zmieniały swe kolory i odcienie, tak on zdobywał się na coraz nowe warjanty, coraz nowe wybryki melodji.

Jakiś powstaniec pragnął zawtórować przepitym głosem, ale mu zabronili inni.

Pokłos dobrze wiedział, że Heniek część energii, zaoszczędzonej przy pisaniu wierszy, lubił zrzucać na klawisze. Słyszał go nieraz w Korpusie, nigdy jednak nie widział go w takim entuzjazmie, w takim podnieceniu jak teraz.

— Brawo Heniek, dobrze grasz! — rzucił mu, nie mogąc dłużej ukrywać uznania.

Na głos towarzysza wstrząsnął się Heniek, oderwał oczy od rozchylonych ust Trudy i na czoło wydusił dwie głębokie zmarszczki. Oczy zakleił powiekami, skłębił się w sobie, zaczął — tylko ręce nerwowo biegały mu po klawiaturze tam i zpowrotem, jak psy, węszące śladów swego pana. Marszowy rytm przechodził w tętent kawalerji, w dudnienie pociągu, w szum śmigła, aż świsnął jak granat i zarył się w głębi pianina.

Ścisnęli się powstańcy kołem i wpatrywali się to w ręce, to w oczy Heńka, jakby pytając go, co dalej, co

dalej, czy już chce przerwać i pozostawić zakończenie marsza granatom, gryzącym okopy. Ale szary, niepozorny muzyk już grał nową melodję.

Instrument ugiął się i sapał całą piersią, jak koń, nie mogący udźwignąć ciężaru... Jeden klawisz — ten najfałszywszy — potrącany małym palcem, jęczał, płakał jak dziecko.

— Legjony to żołnierska buta...

Marsz żałobny grany z rycerską fantazją, dudnienie armat w interpretacji słowików. Melodja pięła się coraz wyżej, coraz groźniej, już, już, miała wytrysnąć i rozlać się jak palma lub fontanna, gdy nagle opadła ciężko na bruk klawiszy i bębniła się w piersi; bębniła głucho i uparcie, jak ziemia, waląca się na wieko trumny:

— My... pierwsza... brygada...

Głowa Heńka pochylała się coraz niżej, coraz bezwładniej i, zda się, czołem wybiła ostatni akord melodji.

W oczach Trudy trzepotały się błękitne łzy. Wszyscy zrozumieli tę pieśń: i ci, co z tamtej strony frontu pozostawili rodziny na pastwę sztostruplerom, i ci, którzy zastali we wsiach zdobytych chaty ojców spalone i ci, nieliczni, którzy przedarli się tu z Polski przez kordon graniczny, aby w uścisku śmierci podpisać swą krwią akt zjednoczenia wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Rozumieli Ślązacy, że to Polska do nich przychodzi w tych melodjach z wyciągniętymi powitalnie ramionami, Polska znana im tylko z bohaterskiej legendy i z bicia własnych serc!

Pomimo próśb, Heniek nie chciał grać więcej. O gramofonie z niemieckimi piosenkami wszyscy już zapomnieli.

Truda wzrokiem dziękowała Heńkowi za piękną muzykę.

— Pierwsza pieśń była dla ciebie, Trüdchen, druga dla nas — powiedział jej z galanterją i pocałował w rękę, która omdlała na chwilę i sama — jak drugie usta — przywarła do jego pocałunku.

— Nie idźcie na wojnę — mówiła błagającym głosem — tam kule, tam bagnety, tam... Niemcy! — Słowo to z ust niemieckiego dziewczęcia wybiegło jak zły pies z budy, jak krzyk nocny przerażonego dziecka.

— Cóż Niemcy? — ludzie, jak i my — roześmiał się Heniek bez najmniejszej ironji.

Truda zmieszała się:

— Ludzie, no tak, ale... — i nieśmiało, wstydliwie dodała — ale straszni w wojnie... Już ja wiem...

Musiała rzeczywiście wiedzieć, bo głos jej złamał się napół, a twarzą przeszła czerwona fala.

Wzywano ją, aby podała piwa. Pobiegła. Ona jedna miała prawo mówić z powstańcami po niemiecku. Zresztą, pilnie uczyła się słów polskich i rozumiała już tę dziwną, poważną mowę.

* * *

Kadeci obiad jedli w koszarach. Tu panowało wszechwładnie bezrobocie. Nie odbywano żadnych ćwiczeń. Powstańcy, którzy przybyli z frontu, spacerowali po

mieście lub po okolicznych lasach i przychodzili tylko na obiady i kolacje. Święte życie dla próżniaków, męczarnia dla ludzi czynu — zasłużony odpoczynek dla żołnierzy po długiej walce.

W rozmowie z adjutantem koszar, Bułłą, dowiedzieli się kadeci, że grupa ich towarzyszy stoi w cegielni Wachowickiej.

Po obiedzie wyruszyli ku miastu długą aleją pomiędzy pięknymi willami.

Heniek wyzyskał czas, w którym Pokłos pisał list do kolegów, pozostałych w Korpusie, i czym prędzej poskoczył do Gasthauzu.

A na papierze rosły, zasiane atramentem, szeregi liter równe jak grzędy kartofli.

„Kochani Koledzy!

Nie udało się nam przebyć granicy Śląska w dzień, bo polska straż graniczna zawróciła nas bez namysłu. Dopiero w nocy przekradliśmy się z przemytnikami. W Szopienicach, choć to nieduże miasto, kursują tramwaje, a kiełbasa i piwo takie były wyborne, że nie mogliśmy zalać pragnienia, ani „zakarmić“ głodu.

Ponieważ Katowice i Tarnowskie Góry są w rękach Koalicji — pociąg nasz musiał manewrować okrężnymi drogami. Co za porządek i punktualność na kolejach! Mówię Wam: zupełnie jak za przedwojennych czasów! Urzędnicy jeszcze w niemieckich mundurach, jeszcze gadają po szwabsku na służbie, a przecież na każdym kroku objawiali nam sympatję, mówili nawet, że są z nas dumni.

Ponieważ pociąg był prawie pusty, jechaliśmy cały czas pierwszą klasą. Pamiętacie moją fotografię w uniformie? Otóż ona była naszym jedynym biletem i legitymacją. Słońce na czapce i naszywki na kołnierzu budziły taki respekt u konduktorów, że nie pytali o nic więcej.

W Tworogu znajduje się dowództwo Grupy Północnej. Tu wygadał się Heniek, że uciekliśmy z Korpusu, a dowódca — czy dacie wiarę? — kazał nam natychmiast wracać do Lwowa. Powiedział, że dowództwo powstania nie przyjmuje do służby dezertersów z wojsk polskich, bo Polska musi przestrzegać ścisłej lojalności wobec Koalicji.

Podobno dowództwo Korpusu wysłało na Śląsk osobną prośbę, aby zawracano kadetów. Napiszcie, czy to prawda, co tu mówili, że po naszej ucieczce z aresztu wszyscyście chcieli iść na Śląsk, aż żandarmi musieli otoczyć cały gmach i strzegą was jak więźniów.

Przysięgliśmy sobie z Heńkiem, że nie powrócimy do Korpusu... chyba w kajdanach. Tyleśmy trudów pokonali, tyle wybiegów, i teraz wracać? A cóżby powiedział na to Ślązak, który przed śmiertelną operacją dał nam w Krakowie pieniądze na drogę?

To też, nawet dowódca się nie obejrzał, gdy wymknęliśmy się na stację i tu wskoczyliśmy w pierwszy-lepszy pociąg, idący na północ. Co za podróż! Wyobrażcie sobie: pociąg miał kantynę, a w kantynie kakao i herbatniki!

Jesteśmy już w Lublińcu, mieliśmy awanturę ze Ślązakami, ale uratował nas jakiś starzec, sprowadzony

przez kelnerkę. Heniek się do niej pali, a zdaje się, że i odwrotnie, choć to Niemka zakuta i słowa po polsku nie umie. Zagrał Heniek Ślązakom „Pierwszą brygadę“, aż się popłakali.

Tu już jesteśmy blisko frontu. Jutro podjedziemy jeszcze bliżej: do Ciasnej. A stamtąd wprost do Wachowa, gdzie na cegielni mają być nasi koledzy.

Życzę Wam dobrej nauki i promocji do 7-ej klasy

Wasz Pokłos“.

* * *

W poobiedniej godzinie nie zastał Heniek gości w Gasthauzie. Truda myła zapienione kufle, a właścicielka uwijała się przy zawieszaniu na ścianie tarczy z białym orłem.

— Dotąd wisiał czarny, teraz powieszę białego, — mamrotała po niemiecku.

— Aby interes szedł! — syknął Heniek przez zęby.

— Cóż pan chce? — tłumaczyła się. — Męża zabili mi gdzieś we Francji, mam troje małych dzieci. Polska, czy Niemcy — byłem mogła dzieci wychować!...

Truda była innego zdania. Przyznała się Heńkowi otwarcie, że sprzyja Niemcom, bo przecież oni bronią tego, co oddawna do nich należy. Heniek wytłumaczył jej, że jeszcze dawniej ziemie te należały do Polski.

— Ależ Polska dopiero teraz powstała! — śmiała się Truda.

Śmiechem też Heniek jej odpowiedział, a za śmiechem przyszły łagodne, dobre słowa o dawnej, potężnej

Polsce, której Prusy składały hold na klęczkach, i o Polsce, która teraz oto powstaje zjednoczona do nowego, jeszcze potężniejszego życia.

Zmieszała się.

— Może być — kiwała głową — ale niemiecka kultura jest wielka i bardzo stara.

— Czy dlatego, że jest o sto lat starsza od polskiej, Niemcy mają prawo rabować nasze ziemie? W ten sposób Italia zajmie Austrię, Francja — Niemcy, a Polska całą Amerykę... — śmiał się.

— E, pan mnie zawsze przegada — zadąsała się wesoło — nie jestem taka uczona, chociaż w Oppeln chodziłam do szkoły. Wiem tylko to, co mówił nauczyciel i ksiądz w kościele, a ksiądz chyba nie kłamie.

Heniek wziął ją za rękę i wstrząsnął nią mocno.

— Truda, wierz mi, że ksiądz ci kłamał!

Usiadł przy pianinie i mówił cicho:

— Powiedz mi, Truda, czy mieliby rację wasi sąsiedzi, gdyby zabrali mieszkanie twoim rodzicom i kazali wam jeszcze pracować na siebie?

— No, nie.

— A czy twój ojciec miałby prawo siekierą przegnać takich sąsiadów z mieszkania?

— Chyba, że tak.

— A więc widzisz: tak samo Słazacy chcą, żeby Niemcy poszli precz z ich mieszkania.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, aż przypomniała sobie jakiś argument bardzo ważny i z radości wykrzyknęła:

— Ale Niemcy tu przywieźli maszyny, założyli kopalnie węgla!

— Masz rację, Truda — odparł, wpatrzony coraz silniej w twarzyczkę, z której dołeczki-śmieszki nie schodziły mimo powagi — masz rację. Niemcy mają prawo zabrać wszystkie meble z tego mieszkania, pod warunkiem, że zapłacą nam komorne za czas niewoli, że zwrócą podatki, które wycisnęli z ludności. Złoży węgla im nie damy, bo były one tu, zanim Niemcy Śląsk zagrabil, a wykopywał je trud naszych robotników. Możemy się tylko domagać, aby zwrócili nam węgiel, który stąd wywieźli. Pamiętaj, że wszystko tu, każdą cegłę na Śląsku, dźwigali polscy chłopci, każdy bochenek chleba wyrastał na ich polu...

Heniek unosił się, poetyzował.

— Nie mówmy o tem — przerwała błagalnym głosem. — Niech już tak będzie. Mnie inaczej uczono w szkole. Jak sobie przypomnę tę smutną melodię, którą pan grał, płakać chcę nad wami, śląskimi żołnierzami, chociaż jestem Niemka — Gertruda Kochanetz.

— Kochaniec — poprawił Heniek — staropolskie nazwisko, które przypomina o tem, żeby kochać, — i dodał po chwili — kochać nawet nieprzyjaciół.

— Więc pan myśli, że jestem polskiego pochodzenia? — spytała ciekawie.

Heniek popatrzał na jej jasne, czyste oczy, na włosy dojrzałe jak zboża przed żniwem i nic nie odpowiedział; siadł tylko do pianina i cicho — prawie nie dotykając klawiszy — zaszeptał palcami melodię „Płynie Wisła, płynie“...

Czy śpiew z nad kołyski nagle mu stanął w pamięci, czy jakaś wewnątrz melancholja poruszyła samorzutnie jego palcami?

Truda pochwyciła go nerwowo za rękę i ostatni akord uleciał jak motyl z klawiszy. Dopiero po chwili opamiętała się i płonąca jak mak przydrożny, szepnęła:

— Jaka to śliczna, smutna melodia — piękniejsza niż „Wenn die Soldaten“, albo „Ich hatt' einen Kameraden“.

Muzyk był niemniej wzruszony. Gorący pocałunek wycisnął na jej rękę i niósł go coraz wyżej, aż przywarł ustami do żywego, prężącego się ramienia.

Ktoś szedł kuchnią. Oddzielili się instynktownie, bez najmniejszego poczucia winy, ale przyciągali się wzrokiem coraz silniej, coraz gwałtowniej.

— Bądź wieczorem przy bramie ogrodu ojców oblatów! — szepnęła mu prosto w usta.

Heniek nie pytał o nic więcej, powtórzył w myślach kilka razy: „ojców oblatów“ i był odurzony niespodziewanem szczęściem. Marzył on przecież oddawna, aby iść na wojnę, jak prawdziwy rycerz: ze wstążką ukochanej na sercu! Nie przypuszczał tylko, że Truda nie zgodzi się grać roli sentymentalnej dziewczicy z romansu.

Nie od dziś i nie od wczoraj oczekiwała ona kogoś, ktoby ją tak wzruszył, porwał, zadziwił jak on — ten nieznamy, obcy, wrogi nawet muzyk, który rzucił rodzinę, aby tu przyjść i narażać swoje młode życie na walkę z całą niemiecką potęgą od Renu aż po Odrę.

Buntowała się co chwila, myśli jej — jak zranione ptaki — trzepotały skrzydłami, coś w sercu spadało z wielkiej wysokości, ale czuła zarazem nowy, świeży pęd, nowe poranne myśli, idące w takt Madelon, w takt szumu Wisły, wystukanego jego natchnionemi palcami. Upita szczęściem, którego nie rozumiała, kwitnąca jak jabłoń na wiosnę, wiedziała tylko jedno, że z nowej drogi się nie cofnie, że zapadłe oczy młodego muzyka i jego melodyjne, buntownicze słowa niosą jej jakieś światło nowe, bez którego jej dotąd ciemno było w życiu.

A wieczór włókł się, jakby naumyślnie, przystawał, wybijał kwadrans na kościelnej wieży i znów szedł wolno, wolniutko, jak wskazówka godzinna na małym zegarku. Ale zato — gdy noc nadeszła — była odrazu parna, rozgrzana, elektryczna. Ptaki kwiliły i wachlowały się liśćmi, a dwa cienie jak smoki pełzały przy sobie po srebrnej drodze, wiodącej do parku oblatów.

Tu ścieżki były wąziutkie, opustoszałe, ciemne: korytarze leśne z popękanym sufitem. Światła księżyca, poszarpane przez gałęzie, czaiły się to tu, to tam, czepiały się zakochanych jak srebrne pająki i wsiąkały z głębokiem westchnieniem w noc liściastą, w noc rozgadaną, w noc letnią.

Przedzierali się przez puszysty mrok i nie mówili nic do siebie, bo i nic nie mieli do mówienia: jej włosy, oczy same mówiły pod jego wargami coraz więcej, coraz inaczej, coraz głośniej.

Dziwna to była noc...

Pod wyciągniętymi, czarnymi rękoma gałęzi, kwitnących majowym zapachem, po raz pierwszy wymienili usta.

Świerszcze w trawie zataczały się śpiewem, aż dygotały ciemności; pocałunki ich były jak dotknięcia kwiatów, potrąconych przez wiatr, jak pogłaskania matki, ale po chwili noc wlała się w ich żyły, — pocałunki stały się wyzywające, harde, głodne, a potem nieskończone jak ta noc... tajemnicze jak miłość...

II.

NA FRONT!

Pociąg trząsł, podskakiwał jak bidka żydowska na wyboistej drodze. Wagony były puste. Pokłos, po nocy przespanej w koszarach, siedział zły sam na sobie i radby pokłócić się o byle co z Heńkiem, gdyby ten nie drzemał w kącie przedziału. Z braku zajęcia przypatrywał się śpiącemu towarzyszowi. Teraz dopiero wydał mu się on dziwnie miłym. Mizerna, długa twarz uśmiechała się rozchyłonymi wargami, jakby Heniek przeżywał jakiś szczęśliwy sen. Z pod kraciastej, powstańczej cyklistówki wymykały się tam i sam pióra czarnych, zbuntowanych włosów.

Pociąg pancerny przetoczył się z łoskotem w przeciwnym kierunku. Pokłos podbiegł do okna i liczył wagony. Już miał siadać, gdy dojrzał na szyi Heńka liczne czerwone wyciski.

— Warjotka! — szarpnął się gniewnie i skoczył w kąt przeciwny, oburzony niewiedzieć na kogo i za co.

W Ciasnej — gdzie mieściło się dowództwo Podgrupy — pociąg stanął. Nie szedł dalej. Na drodze do

Oleśna „kursowały“ tylko pancerki, zdobyte na Niemcach: „Jasiek Ślązak“ i „Pieron“.

Próby zatrzymania kadetów w kancelarji dowództwa nie dały oczywiście rezultatów i obaj, nie myśląc nawet o uzbrojeniu się, postanowili wyruszyć dalej.

W tym celu weszli do dużej chaty Macieja Wydrzybora. Spodziewali się z pomocą pieniędzy namówić gospodarza, aby przewiózł ich do Szerokowa. Jakież było ich zdziwienie, gdy poczciwy Ślązak z okrzykiem radości cały swój dobytek dawał im do dyspozycji. Nie upłynęło piętnastu minut, gdy — zawadjacko trzaskając batem — Wydrzybór poganiał rosłe koniki, a w słomie wygodnie rozparli się młodzi powstańcy i ręce naprzemian maczali w koszyku z chlebem, serem i kiełbasą.

— A to ci jazda na front! — wołał co chwila Heniek i byłby uściskał woźnicę, gdyby nie szarpnięcia koni, które rwały naprzód.

Mijali murowane chaty, bogate, czyste, w słonecznikach i malwach zanurzone: chaty o kolorowych okiennicach, kolorowych dachach. Mijali pola kwitnących zbóż, które wiatr chesał łagodnie. Mijali lasy gęste, paprocią do ziemi przyszyte, jakby w nie — od czasu sławnych polowań Piastowiczów — nie śmiała wdeptać ludzka stopa.

Pokłos stanął na wozie i z rozwartemi powitalnie oczyma wychodził naprzeciw ziemi, którą znał z opowiadań ojca i ze snów własnych.

A ziemia ta — barwna jak stroje Ślązaczek, ziemia najbardziej polska, której drogi wiodą od krzyża do figury Matki Bożej — kłania się niebu wierzchołkami

sosen, przykłęka łanami pszenicy, dzwoni na Podniesienie milionami pszczoł i ukorzona, rozmodlona, święta — bije się w piersi dalekim... ponurym łoskotem armat...

Bo chwila jest uroczysta: Śląsk, po sześćsetletniej czeskiej, austriackiej i pruskiej niewoli, powraca oto w ramiona Polski wolnej, potężnej, która dźwiga się do nowej, bujnej historii. Co za wydarzenie ogromne, tysiącletnie... więcej, bo niezapisane dotąd ani w kronikach, ani nawet w legendach ludzkości!

Tak chciał Bóg, tak chciał lud z podglebia tej ziemi wyrosły! Plebiscyt i trzy krwawe powstania, oto korona drogocenna, którą lud śląski ozdobił epopeję walki o ziemię ojczystą.

Stary Wydrzybór zaciął batem powietrze i gnał. Wiózł on nowych powstańców na pomoc swym synom i wnukom. Rozumiał to sprytny Ślązak, uśmiechał się siwemi oczyskami do siebie, na omijane dziewczuchy wrzeszczał, straszyl gęsi i wyśpiewywał coraz głośniej:

— Weg forujta, miemieckie dziadygi —
Chłopy jadom na wyścigi!

— Aj, wyścigi to będą, wyścigi — śmiał się Heniek i spoglądał na Pokłosa, jakby przypominał mu słowo, dane w areszcie, o „virtuti militari“. Kto zdąży pierwaj, czy dowódca, czy śmierć piersi mu krzyżem naznaczyć?

Nie przyznawał się Heniek, że pragnienie jego spętniało jeszcze od chwili, gdy na piersiach ukrył błę-

kitną wstążkę, ofiarowaną mu w Lublińcu; nie przyznał się też, że jego dawne, ponure myśli o śmierci oniemiały wśród nowych, bujnych przeżyć.

Pożegnano się z wieśniakiem w Szerokowie, gorącym, szczeropolskim uściskiem: — Bywaj, gospodarzu, Bóg ci zapłaci za przysługę!

— Nimo w tym nic cudownego, aboć to nie sobie ja zaś przysługują ha? — śmiał się stary i rozwierał gębę, pokazując dziąsła bezzębne.

— Dobra jest — wołał Heniek — nasi górą!

Wydrzybór chycił się za pas, żeby mu od śmiechu nie rozpęknał:

— Dyc przeca nasze wdycki górą, skiż tygo, iże ty orgole piwsko pochlipują se z gorczków i brzuszyska mają wielgachne, że majtnąć ranczyskami nijak nie poredzą.

— No, gospodarzu, teraz pokażcie nam drogę i zmia-tajcie do chałupy — powiedzieli Wydrzyborowi, roz-bawieni jego wesołością.

— O, terazki tom szoseją ciorajta do Wysokij, kandy je wielga mocka luda powstończego. Tama zaś pomię-szkuje mojo znómka, Okopciucha. Przychlybujta se jej, to ale przymie wos starka gryfnie. Pozdrówcie ją tyż łode mnie, dyc przeca kiedych był eno młodszy — łona czepiec se przystroiła faborkami i podochocili my łoba rade... — Stary miał smutne oczy, choć zmarszczki roz-ciągały mu twarz do śmiechu. — Szykowna dzióbka! — mlasnął mięsistym ozorem.

Jeszcze jeden uścisk chłopski, serdeczny i... poszli!

— Postaćczykowie... — wołał jeszcze za nimi prawie przez łyzy — a trzymojta se, aże te zapieruchy se wycofom do jeich dziczlandu!..

„Powstańczykowie“ uśmiechali się do dziada.

— Póki Bóg z nami, nie bójcie się! — odkrzyknął Pokłos zdaleka.

W Wysokiej nie szukali Okopciuchy. Co im tam! Ze wszystkich chat witały ich dziewczuchy, a starsi, a dzieciaki i prosili do izby.

— Gdzieby to tam pod Lwowem! — myślał Pokłos.

Nie, taka rozczulająco prosta owacja dla dwóch powstańczyków, idących przez wieś bez broni, tylko tu — właśnie z tej ziemi, użyźnionej piastowską kulturą i przeoranej tyłowiekową tęsknotą — mogła tak bujnie wyrosnąć.

Księżda na plebanji nie było: porwali go Niemcy i zamordowali okropnie; zamordowali za to, że nie chciał wmawiać w swe owieczki, jak inni księża w „Oberschlesien“, że są „Ślązakami, a więc Niemcami“.

Na plebanji panował ruch niezwykły. Trzy kuchnie połowe dymiły, jak wielkie samowary: widocznie stąd rozwożono obiady do oddziałów na linii. Zajeżdżały wozy z amunicją. Kilku starszych rozkazywało ze stopni plebanji. Oddział nowych ochotników ćwiczył się w sadzie. Byli to przeważnie chłopcy kilkunastoletni.

W cieniu kościoła stały wozy z rannymi Niemcami. Zebrano ich z nocnego placu boju, po nieudanym napadzie na linje powstańcze.

Baby, których sanitarjusze nie dopuszczali zbyt blisko wozów, popłakiwały przed kościołem, myśląc o swych najbliższych.

W Wysokiej ruch zafrontowy panował w całej pełni. Dziwne, że było to wszystko natchnione jakąś niezamąconą niczem powagą. Nic z gorączkowości, ani śladu zdenerwowania! Systematyczny, zgóry obliczony pośpiech, widnieje z każdego ruchu.

Spojrzyć na którąkolwiek twarz: uśmiechnięta, pogodna, nawet — o dziwo! — kucharze są zadowoleni z kuchcików.

Zda się, że nad tą plebanją cichą, zgodną, pracowitą, unosi się błogosławieństwo księdza-męczennika.

Obaj towarzysze przyznali się, że takiego spokoju, takiej pewności siebie i takiej organizacji, nie widzieli w żadnej polskiej wojnie. Heniek — oczywiście — mógł mówić tylko o obronie Warszawy. Przypominali sobie ponurość zafroncia bolszewickiego: ranni przeklinali, konie u wozów stawały dęba, dalekie detonacje armat huczały jak dzwony pogrzebowe lub sygnały alarmu... Gorączka, niepokój, bez porównania większy, niż na samym froncie.

Kadeci zapytali o drogę do cegielni Wachowickiej i poszli tam, upewnieni, że w cegielni zastaną kolegów. Po drodze wyminęli jakiegoś powstańca z owiazaną ręką. Odgrażał się „Germanom“ i obiecywał wprost ze szpitala powrócić, aby odpłacić im za to, że więzili go w Katowicach, a ojca mu rozstrzelali w Oleśnie.

Jakiś starzec pał krowy przy drodze.

— Pochwalony Jes... Chrystus! — wyprzedził nadchodzących.

— Na wieki wieków... — odpowiedzieli, zatrzymując się obok pastucha.

— A daleko to jeszcze do linji? — spytał Pokłos.

— Wnet — za tym lasem, za tym chojorem wielgochnym, co igo widzą. Tukej, ciyngiem w nocach siarczysta wojno je.

— Ale wy dobrze mówicie po polsku, dziadku — zauważyli prawie równocześnie, wsłuchując się w pełen powagi i potoczystości głos starca.

— A oni co zaś ze przemyśłą? — oburzył się. — Tukej my som, ślązackie pieroni, carne łod wyngło i chude łod pracy — ślązackie pieroni. Germani są kajińdzi.

— Wiemy, wiemy — głaskał go Heniek słowami — cały świat wie, że tu Ślązacy, a nie Niemcy mieszkają.

— Nie cygoń, karlusie, całki świat niewi — mamrotał udobruchany, aż rzekł: — widza, co musza wam wyzdradzić, iże Mateus Gawron — to niby jo — i inksze stare bocunie tukej w Wysokij nie som znojome miemczyzny. Z nami nie poredzi! Ani betribsraty, ani ferbandy — nie poredzi!

Stary bose nogi wgrzebał w piach i zadarł uparty, siwy łeb do góry. Widząc, że nikt go nie napastuje, zmienił ton i począł się zwierzać z bolesną pogardą:

— Dopiro te młode, te ze szkółów — nie? — te wojoki — wicie — te po germańsku ino ucapi, a ciyngiem szwargoci, a piska, a śpiwi, iże nom, oćcom, ino Ewan-gelija ostała śwyynta do łosprowianio z Pan Bóckiem.

I morzyło to nos, — nie? — morzyło bez całki długi cas, co Ślązoki gańbili sie być nazwane Polokami *).

Gawron rozpędział się w gadaninie.

— Prawie se tak wojno pocyna — nie? — już nie-kiere buksy po kąciech uredzali, uredzali o Lompie, o Damrocie, a cichcem z kocynderki do Francyje na urlaub do wsi gronaty, a zaś ruły zwozili — nie? — a mychmy, stare kłaki, se dziwali, dziwali, a serca nam z ucieszenia trzęchało, jak w tańcowaczce — zaś nie rzeklichm nic: — czekalichm...**). A terazki niech obaczą — nie? — młode do starych sie garniają i nie gańbią sie powiedać po swojsku — nie? Sam nijak nie śmiem spokopić jako to od przedłońskiego roku sie odmieniało. Dzisia i stare boroki i ty co nupel doją, baby i dziolchy poniechali germańskiej szprachy — nie? — łona sama sie kajś straciła i wszycko eno mówi słowa dawniane, dziadoskie, kiere nasze króle: Piosty —

*) Jeszcze przed stu laty rodowici Ślązacy sami skarżyli do sądów niemieckich tych, którzy ośmielili się nazwać ich „Polakami“. Takie to zatrute owoce wyrastały w łatwowiernych sercach z posiewu pruskiej „kultury“!

**) Kto ośmielił się lud wezwać do walki ze sztabem niemieckim administracji, ze sforą żandarmów i księży-renegatów? Oto kilka drobnych, wypłowiałych nazwisk: Lompa, Stalmach, Bogedajn, Miarka, Damrot! Nazwiska te odparły Drang całego świata germańskiego z Bismarkiem — tym pruskim „Napoleonem“ — na czele i z setkami milionów „funduszów kolonizacyjnych“! A może to nie one — może to owa lepsza, bohaterska część duszy ludzkiej porwała się do walki ze złem, ze zbrodnią, z perfidją, z polipem pruskim, żrącym duszę niemiec-ką? (Bogedajn był przecie Niemcem z dziada-pradziada!).

co jo ich nie pamiyntom, bo dawni umrzyli, dla naroda podali, a zaś kieremi swiynte Apostoły — nie? — Ewangelią Pańską spisowali... takie słowa dawniane, dzia-doskie...

— To teraz lepiej wam, dziadku, co? — spytał Heniek i dodał jakby do siebie: — I to wy, prości chłopi, zachowaliście tak długo polskość tej ziemi...

Czoło starego pastucha—rozpogodzone ze zmarszczek w czasie przemowy — znów sposepniało. Z orlego nosa, z wydętych warg, z całej jego olbrzymiej, choć zgarbionej, postawy, biła jakaś powaga a moc dostojna, przed którą obaj poczuli się małymi i niezdarnymi.

Powtórzył jak echo w pustym kościele:

— Proste chłopy! — i zapytał: — Abo oni wiedzą ktochmy są: my kmioty, my dziadoki? — Głos Ślązaka, przychrypnięty nieco ze starości, grzmiał groźnie: — My tu pany, psiachmać, chocia proste a nieuczune!

Krowy, przerażone, uskoczyły nabok, Heniek dawał znać koledze, żeby odejść i nie drażnić dziada, ale nie śmieli.

— Nasze oćce nie zaprzańce — wołał i groził pięścią — nie sprzedoly sie za judaszoskie feniki, nie poniechoły ziemi, nie puczyły się z wiarą świętą, chociaby naspoczątek trzebowali na kmioty, na oroki iść, abo krowiynta gnoć na paswisko!

Pochylone, szerokie bary Gawrona poczęły odgarbiać się, prościeć, dźwigać, a strzepy sukmany napelniać surową godnością.

— I tak my ostali tukej — nie? — chocia burzyli sie nam do drzwiów — nie? — i chcyni złotem kupić —

nie? — a ksiyngą wyoślić, a kriką wystrachać — o pierona! — azech stword! — Ścisnął zęby, a po chwili szeroko rozkrzyżował ramiona w wydechu: — no ostatech... jak chojar...

— Powiedają cochmy chłopcy? — nie... nie... — tupał nogami. — My: Szkopy, Ligonie, Mrzyki — mychmy proste pany są — a zaś tamte grafony, a bogocze, a wielkie panoki i dochtory — zaprzańce są, kierzy wzieni od żandarów miemieckich, co te nam wygra-bióły!

I zaczął przedrzeźniać ustami:

— Graf Ciolek, graf von Strachwitz — je tyż graf von Gafron. Pfu — splunął na wiatr — psiachmać takie kuzyny! Toż terozki, gdychmy orgeszów wyciepli — nie? — nam to ziemio ma być — inakczej nie śmieta poredzić — bo naszo je to ziemio, ukradziena z pod naszych nogów.

Nie można było dłużej słuchać starego Gawrona, bo czas naglił. Pożegnali go i poszli lasem.

Odchodząc, słyszeli, jak ciągiem mamrotał do krów, że ziemia musi być odebrana grafom...

Było już popołudnie. Przez nieruchome gałęzie sosen przesypywał się proch słoneczny i miejscami pokrywał mech złotą kurzawą. Cisza tu była na dole prawdziwie południowa. Jagodziny spały, tylko szyszki, te piłeczki leśne, coraz wymykały się z rąk gałęziom i trzaskały o ziemię, aż kolki szły w rozsypkę.

Pokłos z Heńkiem maszerowali naprzelaj. Początkowo pogwizdywali „Jakto na wojence“, ale wobec milczenia lasu i oni zamilkli. Po dwudziestu minutach wy-

szli na szosę, przecinającą las. Na szosie rozpleniła się gęsto lebioda. Żadnego znaku, żadnego odgłosu — tylko rój much, zrozpaczonych upałem, osaczał idących, a brzęczał, a gwizdał, jakby chciał im coś ważnego powiedzieć.

— A teraz w prawo, czy w lewo? — głośno namyślał się Pokłos.

— Najlepiej naprzód — poddał myśl Heniek i zanucił na melodję „Tam u panów weteranów“: — Zawsze naprzód, zawsze naprzód, to nasza zasada, nikt nas nie przepije, nikt nas nie przegada.

— Naprzód? ależ tu niema drogi, mój poeto — rzekł Pokłos.

— To walaj lasem!

— Chodźmy lasem — zgodził się towarzysz.

Podpierali się wyłamanymi kijami i szli. Las wielokrotniał, gęstniał, wypróchy zarosłe mchem zastępowały im drogę, a wszystko to, aby utrudnić i opóźnić pochód. Nagle posłyszeli za sobą odgłos maszerującego oddziału. Manierki dzwoniły, rzemienie skrzypiały, zeschłe gałązki pękały z suchym trzaskiem: szli ostro.

— Nareszcie nasi! — zawołał uradowany Heniek i poskoczył w kierunku maszerujących, ale wkrótce nie wiedział, gdzie ma iść, bo odgłosy nagle jakby wsiąkły w ziemię.

Spojrzeli po sobie.

Wpobliżu, za gęstemi krzewami, które dopiero co przebyli, pływał — tam i zpowrotem — jakiś szept. Serca młodym ochotnikom poczęły iść jak zegary: tak, tak, otośmy zaszli tu.

Cofnęli się za drzewa i nasłuchiwali.

Nagle rozległ się brutalny i gwałcący majestat lasu repet kilku karabinów.

— To my, ślasy powstańcy! — wrzasnął co tchu Pokłos, obawiając się nieporozumienia.

Chwila namysłu i odpowiedź głośna jak nawoływanie śmierci potrząsnęła ciszą. Las ryknął jak sarn raniony, a drzewa powtarzały ten ryk bez końca.

Nie było czasu na namysły. Poczęli przemykać się, przerastać od drzewa do drzewa — wbok, wbok — w gęstwinę.

Sypnęła się druga salwa, na szczęście w złym kierunku... Biegli co tchu z góry na dół i tak — zziajani, całym impetem — wpadli na leśną steczkę, a tu — o zgrozo! — prosto na łeb niemieckiej wedecie.

Poznali wroga po kasku szturmowym i rogowych okularach. Krzyczał „wer da?“, ale nie strzelał, bo z tej strony oczekiwał nadejścia rodaków. Gdy wpadli na niego, było już za późno. Zapytał raz jeszcze: „wer da?“, ale karabin był już w rękach Pokłosa, a granaty Heniek za pas sobie wtykał.

Dopiero teraz rozbrojony zrozumiał, co się stało, i chciał pięściami walczyć, ale że kolba była mocniejsza, więc ustąpił.

— Prowadź draba ścieżką, a ja tu zaczekam — rzekł Heniek.

Tak się stało.

Po trzech minutach potężne detonacje zatrzęsły lasem,

— Heniek nie śpi — pomyślał Pokłos i gnał jeńca przed sobą. Dogonił ich Czekaliński.

— Dwóch leży — krzyknął zdaleka — ale zmiatajmy.

Jeniec biegł popychany lufą karabinu. Dotarli do szosy, którą tak nieopatrznie przekroczyli.

— Gdzie są powstańcy? — zapytał Pokłos jeńca — mów prawdę, bo kula w łeb! — i wparł mu lufę w plecy.

Musiał powtórzyć pytanie i groźbę po niemiecku, bo jeniec nie rozumiał, a gdy pojawił wreszcie, zdziwiony wskazał przed siebie.

Pot moczył im czoła, proch szary oblepiał nozdrza. Na szczęście, z lewej strony skończył się las, a z poza wydętych pól ukazały się dachy wiejskich chat.

— Stój, kto idzie? — rozległ się stanowczy, choć prawie dziecienny głos.

— To my! — odpowiedzieli.

— Kto my? — Stój, bo strzelam!

— My, polscy kadeci!

— Hurra! — Z za pnia sosny wyskoczył Zbych Pszczółkowski i począł w obecności zdumionego jeńca ścisnąć się z Poklosem. Całowali się gorąco, jak bracia po długim rozstaniu.

— Nasi są tu, „na cegielni“! Bronimy szosy! — zawołał uradowany i śmiał się białymi zębami, zdrowo, rumianie, mrugając przytem oczami po swojemu.

Dowódca kompanji, sierżant Precz, nakazał ostre przygotowanie, a oddział kadetów szykował się na wywiad w kierunku posłyszanej strzelaniny. Niespodziewane po-

jawienie się dwóch kolegów z jeńcem w kasku szturmowym wywołało zrozumiały entuzjizm.

Sam kompanijny powitał przybyszów, a gdy gruchnęła po wsi wieść, że „z kijami poszli na Niemców“ (niktby nie uwierzył, że zabłądzili w lesie) i zabili kilku, a nawet przyprowadzili jeńca — cieszyli się wachowiaczy, a chłopaki mało nóg nie połamali z radości — tak biegli.

Nadciągnęli za nimi i starsi, chcąc się przypażyć rozstrzeliwaniu znienawidzonego Prusaka.

A jeniec stał pod drzewem posępny, milczący, jak krzyżak na obrazku. Miał na sobie wojskową bluzę bez odznak i breczesy w białą-czarną szachownicę. Na lewem ramieniu lśniła biało-żółta opaska z czarną trypią głową i pięciu gwiazdami.

— Ty pieronie, roboku cygoński, fajnie ci tak — wołała jakaś dziewczyna — wyśta oćcu mymi kikuty obcieni i poniechali umrzyka w lesie!... — Tu zarwał się jej głos płaczem. Skoczyła na jeńca z pięściami.

— Betti, uspokój się — zawołali kadeci, a Pokłos uchwycił ją wpół i odciągnął od Niemca. Trzepotała się w jego ramionach, jak ptak w klatce.

— Puśta jeją — postańczykowie! — skrzeczały baby ze wsi — niechta se pofolguje, nieboga; toć bezmała rok tymu bydzie, znaszlichmy starego Zabora posiepanego na szcząty.

Pokłos zwołnił nacisk, poczuwszy, że serce Betti bije na alarm w rozkołysanych piersiach. Już jej nie trzymał, a jednak została przy nim, jakby zdziwiona ciężarem je-

go rąk, jakby onieśmielona zachłannym, mocnym uściskiem.

Kadeci tłumaczyli, jak umieli: nasz jeniec, to jakby nasz gość. Nie wolno znęcać się nad bezbronnymi!

— A łoni to zaś co? — wołali Ślężacy, tylko podrażnieni sprzeciwem. — Róbma jak łoni: rostrzylmy! Inaczej nie śmis poredzić. Śmirć za śmirć, i tak nie zrównimy tym sztrupom.

— Ksiyndza Marka — wołał jeden — widziołech jak wyhangowali nogoma w wierch i spiekli w Rozenberku.

— W Łoleśnie! — przekreślili nazwę niemiecką groźnym wrzaskiem...

— Psy germańskie !... zadziory rauberskie!...

Kilku zagorzalszych widzów natarło na oddział, osłaniający jeńca. Kadeci cofnęli się z Niemcem w głąb lasu.

— Nie możecie się mścić na jeńcu. Jesteście przecież Polacy, a nie barbarzyńcy-Germanie — zawołał Pokłos stanowczo.

— Polocy! — wrzasnęli jak przysięgę.

Betti podniosła z ziemi ostry kamień.

Świst w powietrzu... Pokłos zdążył zasłonić Niemca własną pierśią. Otrzymał cios, aż jęknął. Po chwili rumieniec radości zapalił mu twarz. Uderzenie to wydało mu się zasłużoną karą i zapłatą: wykrzyknikiem po apostrofie do ich sumienia.

Uśmiech ten na wargach niezamkniętych jeszcze po jęku i rozdzierającym szloch Betti rozbroił Górnoślązaków. Odezwały się głosy pojednawcze;

— Dyc przeca dostonie łon, dostonie. Nie bydą tygo orgolskiego łba szporować — nie myśta! Polocy, prawdo, łagodniejsze niż te raubery: żeby ich dżuma wygnie-ła z ich bandycką kulturą!

Baby jeszcze przygadywały:

— Zymby to mo, jak u kiędroza, a łoczyska złe — psiachmać — wojok judaszyński!

— Katzenjamer go trzymi... chlipoć byndzie... śmieli się powstańcy, widząc, że ma łzy w oczach.

Jeńca odprowadzono na przesłuchanie do chaty przy cegielni. Tu dopiero rozplakał się, jak dziecko... Był pewien śmierci z rąk tłumu. Stanowczość obrońców rozculiła go. Zaklął się na grób ojca, na honor niemieckiego żołnierza, że nie skłamię ani jednym słowem. Dziś dopiero przybył na front z oddziałem berlińskich studentów, którzy przysięgli zgiąć, albo przerwać front powstańcy.

— Jużeś przerwał — wtrącił ktoś półgłosem.

— Ciś, pieronie, zaś tam, bo cia mazna w szczanka, psiłbie! — ryknął sierżant Precz, wstrząsając posiwiałymi wąsiskami.

Jeniec przyznał się, że postawiono go na warcie w lesie, przyczem powiedziano mu, że wróg może nadejść tylko od wschodu.

Kompanijny wbił chore, przekrwione oczy jeńcowi w twarz, a widząc, że ten wymyka się ze spojrzeniem, zapytał po niemiecku:

— Zeznali mi inni, że przysięgliście mordować wszystkich pojmanych jeńców wojennych i cywilnych. Powiedz mi dlaczego!

Podstęp udał się wybornie.

Pojmany zbladł, jakby już śmierć zajrzała mu do głębi czaszki. Patrzył przez chwilę na straszną twarz z połamanym nosem i na nerwowo drgającą szczękę dowódcy, jakby poznawał w nim sierżanta z pod Soissons i z pod Verdun; patrzył na rozwichrzone, groźne ślepie podoficerów, na maczugi zaciśniętych łap, i mróz wstrząsnął jego ciałem. Dopiero po chwili otarł mleczyzny pot z czoła, wyprężył się i rzekł z zamkniętymi oczami:

— Jestem gotów na śmierć przez rozstrzelanie.

A gdy już wyrzucił te słowa, napuszył się, zawiesił nos wysoko i z góry, przez okulary, spojrzał na obecnych.

Precz i na to był widocznie przygotowany. Oj, bo też znał on duszę niemiecką nawylot: jej potworności i bohaterstwa! Zmienił odrazu dobrotliwy ton pytań, podniósł się ciężko z krzesła... pięścią z rozmachem grzmotnął w stół jak w bęben i zaszczekał:

— Baczność! Odpowiadać na pytania albo.... — tu zębami kłapnął (widocznie powstrzymywał klątwy) i tak potoczył krwawymi oczami, jakby już bagnet wbijał mu pod skórę.

To podziałało. Niemiec cichym głosem zameldował:

— Dlatego, że chcemy pomścić naszą ojczyznę i odebrać zrabowane ziemie!

— A skąd się tu... na tych zrabowanych przez nas ziemiach... wzięli polscy chłopci... co? Mów! Czy Fryderyk Wielki ich tu osadził? — dopytywał Precz groźnie, choć zgóry wiedział, że odpowiedzi nie posłyszysz.

— Ale mniejsza — machnął wreszcie olbrzymią, sękatą ręką — więc wy, studenci, którzy za 10 lat będziecie rządzić Rzeszą Niemiecką, oczy wykluwacie jeńcom i rozcinacie im brzuchy za to, że pozostali Polakami? Wstyd... i ja, były sierżant 11 pułku jęgrów pruskich, odznaczony żelaznym krzyżem, mówię: „wstyd i hańba!“ — Nagle wykrzywił twarz tak okropnie, że szrama, biegnąca wpoprzek twarzy, połamała się na kawałki i wypuł całą grdyką:

— Precz — z moich oczu, morderco!

Niemiec bladł, schylał się pod naporem słów, jak pod uderzeniami kolby, i oczyma wieszał się posiwiałych, poziomo sterczących, wąsów dowódcy, z pod których miał wyjść ostatni wyrok.

— Jeden z kadetów odprowadzi go do więzienia w Lublińcu! — brzmiał rozkaz. Precz wydał go po niemiecku, zwyczajnie, jak w chwilach podniecenia.

— Litości! — zawołał Niemiec żebraczym, klękającym głosem, z którego pierzchła niedawna hardość — litości, on mnie zamorduje w lesie!

Zebrani przebiegli spojrzeniami po swych twarzach. Były ordynarne, zaciśnięte, złe...

Taka obawa mogła powstać tylko w umyśle Prusaka.

Runęli ku niemu wszyscy, jak widownia cyrkowa w oczach spadającego z trapezu. Oddechy ich gnioły go, miażdżyły.

Precz stał niewielki, kwadratowy, wstrętny. Jego ogolona czaszka — podobna do skorupy jaja — wisiała wszystkim przed oczami. Nie ruszał się. Paznokciem dzwonił o zęby: zamyślił się i pracował nerwami.

To dodało odwagi napastnikom. Gdyby naprzeciw mieli choć z dwudziestu uzbrojonych Niemców — daw-noby ich byli roznieśli! Kilka pięści szukało miejsca do rozmachu. Powstrzymał je Heniek Czekaliński. Skoczył w sam wir, odepchnął powstańców, a gdy był już sam przy Niemcu, zamierzył się, aby mu dać w twarz i... nie ośmielił się uderzyć. Zębami tylko zazgrzytał, jakby za korbę żelazną chwytał. — Odprowadzi cię kadet pol-ski, a nie student z Berlina! — potoczył się szarpnięty korbą łańcuch słów.

Kilkanaście zardzewiałych szczęk potwierdziło to echem. Wszystkie oczy zagorzały na myśl, jak to po-wstańców odprowadzają „przez las“ z tamtej strony frontu. Na szczęście sierżant ocknął się i wnet przegnał wszystkich.

Kadetom wieczór zeszedł na rozmowie. Porozkładali się we wrzosie, tuż koło szosy, i gwarzyli.

Pokłos i Heniek dowiedzieli się, że kadeci, czyli „po-wstańczykowie“, jak ich ludność zgodnie mianowała, tworzą „oddział wywiadowczy“, przydzielony do kom-panji Precza z 3-go baonu podgrupy „Butrym“. Wszyscy pozmieniali swe nazwiska, bo tajny wywiad polski wylapywał dezterterów.

Zbych Pszczółkowski wybrał sobie pseudonim „Sęp“. Dlaczego Sęp? — może dlatego, że kochany chłopak nie miał właśnie nic z sępiim charakterem wspólnego.

Kręciucha, rudego olbrzyma z „przylepionym“ nosem i z obwisłymi wargami, który chciał „być“ koniecznie „Wallenrodem“, nazwano właśnie „Zagłobą“,

Bartniczek, niewiadomo w jaki sposób, uzurpował sobie pseudonim „Skrzetuski“.

— Przyszło temu żarłokowi takie nazwisko — narzekał pokrzywdzony Kręciuch, choć z pewnością nie wiedział dlaczego „Skrzetuski“ ma być lepszy od „Zagłoby“.

— Co ciebie to obchodzi — ty geszefciarzu? — broił się w takich razach Bartniczek, który był święcie przekonany, że mu się ten pseudonim należy.

Najmłodszy ze wszystkich, Robert Müller, — wnuk kolonisty - Niemca — o bladej, niemej twarzy, patrzącej na świat przez okulary, przyjął, ze względu na nieduży wzrost i zamiłowanie do polskich wojen kresowych, pseudonim „Wołodyjowski“.

Najpiękniejszym pomysłem szczyił się jednak elegant Lech Mieszkowski: bohater flirtu z żoną kapitana Strzępa. Nazwał się on „de Lermont“ (miało to być, oczywiście, wymawiane „po parysku“, z akcentem na ostatniej zgłosce). Wiele go jednak zdrowia i papierosów kosztowało „ujadanie się“ z towarzyszami, którzy najchętniej nazywali go „Lermontow“, lub wprost — jak w Korpusie — „Szwoleżer“, szydząc z jego kawaleryjskiego snobizmu.

Przybysze również postarali się o pseudonimy.

Heniek Czekaliński dorwał się do harmonijki Sępa i wygrywał, co mu pamięć do ust przyniosła.

— Bohun? — niech będzie Bohun — zgodził się na propozycję „Żarłoka-Skrzetuskiego“, który był za tem, aby wszyscy z Trylogji zaczerpnęli pseudonimy.

O Pokłosa nikt się nie martwił. Miał on dawne, kadeckie przezwisko „Postrach“. Przywrócono mu je z odmiennem nieco znaczeniem.

Po tym chrzcie — niestety, z braku trunków, mało uroczystym — opowiadano sobie historje ucieczki z Korpusu: jak to Zagłoba za jednym biletem przewiózł cztery osoby, zarabiając w ten sposób kilkadziesiąt marek, jak to Lermontow do Krakowa zajechał w wagonie z wycieczką pensjonarek, ukrywszy Skrzetuskiego pod ławką. Niestety, głośnie chrapanie wydało go w ręce konduktora.

— A mnie... mn... nie ten i... idjo...o...ta — wskazał Müller Skrzetuskiego — u... u... upił w... w So... So... Sosnowcu.

— E, licz się ze słowami, ty mi... mi... mikrusie, „Okularniku“ — przedrzeźniał go Żarłok, dłubiąc w zębach wielkim szczyrzykiem.

— Ha... ha... — zaśmiewał się Sęp, nie mogąc pohamować czkawki.

— Co się stało? — pytał Postrach, śmiejąc się wraz z kolegą...

Dopiero Zagłoba, którego nic nie mogło rozśmieszyć, na prośbę kolegów opowiedział, jak Wołodyjowski, aby nie zapomnieć historii, nawet po pijanemu wyliczał w cukierni daty panowania królów polskich.

— Najgorzej było — mówił z najzupełniejszym spokojem, podczas gdy wszyscy zalewali się płaczem śmiechu i tak rozdziawiali paszcze, że mało co słyszeli — najgorzej było, gdy Wołodyjowski chciał wymówić Ka... ka... zi-zi... mierz Wielki,

Wszyscy rzucili się śmiechem na Lecha Mieszkowskiego, który o swej Zizi tyle w Korpusie opowiadał...

— Słuchaj... Miesz... ale cię zmieszał... zabrał z gliną... — ryczał Skrzetuski, zatykając sobie usta obu pięściami.

Uspokoił się, gdy inni powstańcy poczęli nadchodzić, aby zbadać powód wesołości.

Gra Bohuna na harmonijce była przejściem do poważniejszej rozmowy.

Nowi powstańcy dowiedzieli się, że front kompanji już od kilkunastu dni biegnie wzdłuż szosy, łączącej Oleśno z Dobrodzinem. Odcinek jej trzykilometrowy osłania sierżant Precz z osiemdziesięciu powstańcami i jednym karabinem maszynowym *).

Precz... — mówili powstańcy z podziwem, miłością i strachem — ten Ślązak z siwymi wąsami. Nikt nie wie, jak się on naprawdę nazywa, nikt go bliżej nie zna. Niemcy przezywają go „Schwarzer Deibel“.

Postrach i Bohun zwiedzili linje, oprowadzani przez towarzyszy. Sama „linja“ nie wyglądała zbyt imponująco: ot, pojedyncze doły strzeleckie wzdłuż szosy. Za niemi — las, a na skraju lasu cegielnia, w której mieści się dowództwo kompanji. Przed okopami — pola za-

*) Pomimo braku zapasów amunicji i uzbrojonych rezerw — dowódcy powstania mieli przewagę nad nieprzyjacielem, a to dzięki przyjaznemu dla sprawy polskiej stanowi całej ludności. Tego nie śmie zaprzeczyć nikt, żaden akt dyplomatyczny! A czyż może być plebscyt wierniejszy nad głosowanie przez mężczyzn: krwią, a przez kobiety i dzieci: poświęceniem się dla Sprawy?

siane zbożem, a wśród pól droga do Wachowa i pierwsze chaty tej wsi.

— Na końcu wsi, tam, za wydumą piaszczystą, we dworze i karczmie, ufortyfikowali się Niemcy — mówił Sęp. — Obsadzili też szkołę, tak, że mają linię obronną mniej więcej na kilometr od szosy. Dowództwo odcinka niemieckiego znajduje się w Leśnej: polskiej wsi na południo-zachód od Wachowa — recytował dalej Sęp, najlepiej orjentujący się w okolicy.

— Czy to tam, gdzie przybyły oddziały studentów? — spytał Postrach.

— No tak, właśnie — wtrącił Skrzetuski swoje trzy słowa.

Towarzysze wrócili wzdłuż szosy na swe „legowisko“ przy okopach. Wszyscy, pomimo różnic charakterów, byli ze sobą serdecznie pobratani. Na znak równości rozdzielili między siebie posiadane pieniądze i wyjawiali najskrytsze tajemnice swego życia.

Ani bracia, ani matki nie słyszały i nie posłyszą takich zwierzeń. Nic nie zakłóciło powagi tych otwartych rachunków sumienia. Zapomnieli o niedawnym śmiechu, gdy „Lermontow“ opowiadał o śmierci swojej siostry, zapomnieli o „przylepionym“ nosie Zagłoby, gdy ten skąpiec rozplakał się i z plecaka wy dostał do podziału jeszcze całe pięć tysięcy marek, których strzegł stokroć więcej, niż swego życia. Skrzetuski żuł chleb, który nosił zawsze po kieszeniach, i drapał się po plecach, a przecież nikogo tem nie rozśmieszył.

Wszyscy rozumieli, że czekają ich chwile rozstrzygające, że jest to, dla niektórych, pewnie ostatnia spowiedź.

I to spowiedź nie przed księdzem nieznanym, niewidocznym, nudzącym się może w konfesjonale, ale przed kolegami, którzy również odkrywają i pokazują swe serca i swe myśli, jak Zagłoba drogocenną zawartość plecaka.

Strzelanina, w miarę zapadającego zmroku, wzrastała. Siedzieli osłonięci szosą, a między ich rozmowy wciśkały się trzaski, gwizdy, śmiechy kul. Gałęzie łamały się po lesie, a Sęp opowiadał swym dziecinny, nieco nosowym, głosem, że Butrym przeznaczył oddziałowi wywiadowczemu jeden krzyż „virtuti“ i dwa „walecznych“ pod warunkiem, że sami, jednomyślnie, wskażą mu kandydatów na te odznaczenia.

Bohun poszukał oczyma Postracha i uśmiechnął się szczęśliwy, jakby już na piersi jego lśniła błękitna wstążeczka ze srebrnym, niepozornym krzyżykiem.

III.

SZOSA W PŁOMIENIACH.

Poranek zbudził się nad Wachowem wyspany, różowy, uśmiechnięty.

Na płoty powłaziły gałęzie wiśniowe, oblepione zapachem dojrzałych owoców. Całe ogrody drzew defilowały równemi szeregami w białych wiosennych mundurach i, w takt brzęku owadów, zachodziły rozwiniętym szykiem.

Miedzy zagrodami przepływała piaszczysta droga, a po niej spacerowały zadumane, mądre kury. Nagle poczęły gdakać przeraźliwie, złe, że muszą ustąpić miejsca przechodzącym powstańcom.

Oddział szedł „byle jak“, nucąc przy akompaniamencie organek:

Słonko, słonko z poza czarnej chmury
wyjrzało spokojne.

Hej, naprzód, kadeci, gdy nam słońce świeci,
ruszajmy na wojnę!

Szyby poczęły przedrzeźniać słońce, i wkrótce z pootwieranych okien wyjrzały zachęcająco uśmiechnięte twarzyczki. Gosposie zapraszały „powstańczyków“ do

wnętrza na śniadanie, lub wynosiły na drogę bochenki chleba, garczki masła, twarogu i mleka.

Skrzetuski i Zagłoba prześcigali się w zbieraniu tych ofiar. Pierwszy potrzebował wiele dla zaspokojenia swego apetytu, drugi przewalutowywał „zdobycz” na papierosy, którymi stale handlował.

Pokłos przed jedną z chat spotkał się z groźnem spojrzeniem jakiegoś dziewczęcia. Poznał Betti Zabór. Poznał, bo czyż mógł zapomnieć o tym krzyku dławiącym: „wysta oćcu mymu kikuty obcieni!”, czyż mógł zapomnieć o tych piersiach strwożonych jego uściskiem, o nozdrzach, wdychających upojenie, gdy rzucała mu w pierś kamieniem, o tym jej płaczu? Nie, tego Postrach chyba nigdy nie zapomni!

— Betti, gniewasz się jeszcze? — zapytał, wpatrzony w zmarszczki na czole, z pod których wyglądały ciemne, śliwkowe oczy.

— Ja — potaknęła drżącym głosem i rumieńce zapłynęły jej całą twarz.

— Teraz, gdy tylko pochwycę jeńca, oddam go tobie, Betti — rzekł tak wesoło, że spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Nie cygonisz?

— Wprzód muszę Niemca uchwycić — wykręcał się Pokłos i zmieszany potrząsał ładownicami, bo spostrzegł, że Betti całym wzrokiem była przy nim, na nim, w nim.

Na szczęście koledzy pociągnęli go dalej przez wieś. W pewnem miejscu zafurczały koło nich kule. Karabin

maszynowy trzepał powietrze. Po czerwonym dachu dość odległej szkoły biegały błyski.

Przypadli do chat i zwolna, kolejno poczęli celować w otwór na dachu.

Sęp tu stwierdził raz jeszcze, że pierwsza nagroda w Korpusie za strzelanie słusznie mu się należała. Dachówki podskakiwały, fruwały w powietrzu jak wróble, aż maszynka ucichła, a w miejscu, z którego wyglądała jej lufa, został wybity potężny otwór.

— Założę się, że któryś drapichróst oberwał — uśmiechał się Heniek, nie schodząc ze środka drogi.

— Na pe — dodał Skrzetuski z tupetem — sam widziałem, jak po moim strzale Niemiec runął z dachu.

— Idź... idź...

— Powiedz to babci! — zakorkowali koledzy bohaterskie zapędy Skrzetuskiego.

Ten udał obrażonego i wszedł do najbliższej chaty, w której już poprzednio zamówił sobie coś do zjedzenia.

Betti przywitała wracających kadetów zaproszeniem na jajecznicę.

— Brawo! — wołali, podnosząc wyślizgującą się z rąk dziewczynę. — Niech żyje jajecznica!

Entuzjazm wzrósł nieopisanie, gdy jajecznica okazała się z kielbasą.

— Jedzmy prędko — poganiał Zagłoba, czekając z niecierpliwością na swoją porcję — gdy się „Żarłok“ dowie, że z kielbasą, przyjdzie nas przeprosić.

— Wilk tuż... — syknął Lermont, szukając przedziałka w lśniącej czuprynie, i głową wskazał na okno.

Uspokoił ich Sęp uśmiechniętem mrugnięciem oka. Wyszedł przed chatę.

— Skrzetuski — rzekł nadchodzącemu — wiem, że jesteś dobrym kolegą, jak „ten z Trylogii“. Idźno do tej chaty na lewo i powiedz Bohunowi, że zaraz przyjdę, tylko owijacze poprawię.

Nie trzeba było Skrzetuskiemu tego dwa razy powtarzać.

— Żebyś wiedział, że jestem „prawdziwy“ Skrzetuski — odparł poważnie i pobiegł najszybszym pędem, na jaki mu pozwalała budowa nóg, jakby związanych w kolanach.

Tymczasem Betti wszystkich, rozbawionych ambitnością kolegi, uczciwie obdzieliła jajecznicą, a Skrzetuskiego, gdy powrócił zagniewany podstępem kolegów, rozbroiła podwójną porcją.

„Kochana panna Zaborzanka“ — jak ją czule tytułował Lermont — radowała się szczęściem powstańców, ale nie zapominała ani na chwilę o powadze i godności gospodyni. Matka jej zato — jakby o Bożym świecie nie wiedziała — dni całe zamieniała na modlitwy o szybkie zakończenie wojny. Wiadomość o śmierci męża odjęła jej mowę. Nerwy biednej kobieciny były poszarpane nieszczęściami i teraz, to życie między dwoma linjami okopów, te nocowania w piwnicy, te przechodzenia patroli i ciągle rewizje dowlokły ją do krańców wyczerpania.

— Czy wiecie, powiem wam coś, co was zdziwi — rzekł Sęp swym dziecięcym, wesołym głosem,

— Ciekawość i chęć zgadywania oderwała Lermonowi łyżkę od ust.

— E, już wiem — machnął Skrzetuski niedbale ręką.

— Nie bujaj, nic nie wiesz — zgromił Lermon rywala, zły, że go uprzedził z tą uwagą.

— Wiem — zaperzył się Skrzetuski stanowczo — dziś będzie wieprzowina na obiad.

— Abżora — zaklął Lermon, wyciągając z kieszeni papierosa.

— Szwoleżer z Saskiego Ogrodu — odciął się obrazony z godnością.

— Otóż — ciągnął przerwana rewelację Sęp — dziś... jest... niedziela!

— No właśnie... mówiłem przecie, że jest wieprzowina na obiad — wzruszał Skrzetuski ramionami.

— Dzi... dzisiaj nie... dzie... dzieła? nie, nie może być... — sprzeczał się Wołodyjowski, szukając po kieszeniach kalendarzyka. Wyłożył na stół cały stos notatek z historii powszechnej, ale kalendarzyka nie było.

— Wyrzuć już te śmiecie — poradził mu Zagłoba.

— C... co? — oburzył się Müller.

— To bezczelność — wsiadł na niego Skrzetuski — że ci, co najlepiej znają historję, uczą się jeszcze w okopach.

— Masz rację — wtrącił się Postrach — to właśnie ty powinieneś się uczyć...

— Nie o to chodzi — bronił się znienacka napadnięty — ale jak jeden „za dobrze“ odpowiada — Grubas innym dwie kropi,

— A więc dziś sobota, czy niedziela? — przerwał sprzeczkę Bohun, i otarł harmonijkę ze śliny.

Rozstrzygnęła Betti, wskazując na biały fartuszek i nową błękitną wstążkę w kształcie motyla. Motyl ów przysiadł na jej kasztanowych włosach, jakby przypinał do nich ciemniejszy, prawie czarny, grubo upleciony warkocz. Była opalona i rumiana, jak lato, poważna, nawet za poważna na te siedemnaście, osiemnaście wiosen, które mogła w swem życiu oglądać. A może to tylko stanik zbyt ciasny zmuszał ją trzymać się tak sztywno, tak niedostępnie?

— Wartoby przy niedzieli urządzić zabawę w lesie: taki piknik „chevau-léger‘ski“ — zaproponował Lermont z nonszalanckim gestem i wpatrywał się żarłocznie w zdrowe i jędrne poruszenia Betti. Dawno już nie miał pola do popisów choreograficznych, a przy nich dopiero mogłyby „przemówić do przekonania“ jego ciemne baczki, stojący sztywno kołnierz bluzy i śliną wypomadowane włosy, jakby zeszyte pośrodku głowy białym przedziałkiem. Nawet ta oporna Betti, grająca dziś z Postrachem miłosną komedję, znówby wyciągnęła ku niemu rozradowane ręce.

— Brawo, Lermontow, pierwszy raz, że masz jakitaki pomysł szwoleżerski! — zawołał Postrach.

— Lermont, nie Lermontow. Proszę cię, nie przekreślaj — poprawił go grzecznie towarzysz, nie przestając dyskretnie kokietować panny Zaborzanki.

Pomysł zabawy leśnej przypadł kadetom do smaku. Sęp — uczynny od urodzenia — podjął się sprowadzić orkiestrę z Wysokiej. Skrzetuski biegał po chatach jak

opętany pocztyljon i zapraszał wachowianki na zabawę powstańczą, opowiadał przytem niestworzone rzeczy o programie festynu. Zagłoba, zachrypniętym basem, dopomagał mu w tem, jak umiał, chociaż rudy zarost i „pociągnięcia nosem“ Geszefciarza — raczej odstraszyć mogły, niż zachęcić do udziału w zabawie.

Wieść jednak, raz wypuszczona z klatki, sama fruwała po chatach, aż dziolchy w oknach upinały włosy i szczypały nakrochmalone rękawy i fałdowały szeliszczące spódnice, że ojej!

Kompanijny zezwolił na zabawę. Rad był nawet z pomysłu. Widział, że bractwo w okopach traciło fantazję i sarkano to na deszcz w nocy i spanie w błotniku, to znów na brak tytoniu, to na wieczne warty, wywiady, ostre pogotowia. Niechta se podochocą, nieboraki!

Powstańczykowie zapraszają, powstańczykowie gospodarze — wszyscy o tem wiedzieli, to też chłopaki zabrały się co żywo do roboty.

Polana szerzyła się w lesie niedaleko drogi, jakby umyślnie kto las skosił do zabawy. Ot, miejsce wynaleźli! Sęp, wojak-agronom z dziada pradziada, zsiekł bujną trawę, a koledzy jego wyżłobili w ziemi stoły, o jakich się żadnej karczmi nie śniło.

Zebrano wszystkie pieniądze kadeckie i Zagłoba, potrząsając wniebowziętym wzrokiem, udał się po dwie beczki piwa do browaru w Szerokowie.

Bohun nie chciał brać udziału w ogólnej wesołości.

— To dla bażantów dobre, dla rekrutów — mówił z pogardą, zapożyczoną chyba wprost od wiarusów z pod Waterloo,

Powierzono mu więc czuwanie nad wojennem bezpieczeństwem zabawy. Gdy odszedł w las rozstawić placówki, uśmiech szyderczy z ust zmarszczkami rozplynał się po całej twarzy, aż wkońcu zniknął w powodzi smutnego zamyślenia.

Pod wieczór wszystko było gotowe.

Skrzetuski zakasał rękawy i kręcił się przy bufecie jak korkociąg. Sprzedawał i jadł naprzemian kielbasę, chleb, ser, które niewiadomo, jak i kiedy, i skąd nagromadził. Zagłoba z piwem miał jeszcze więcej kłopotu, bo gorąc był czerwcowy, a powstańczej wiary zeszło się, że nie zliczysz. Dziewczęta małe, co to do tańca im jeszcze nie czas, znosiły szklanki i kubki do piwa, „byle co mniejsze“, wedle mądrego przykazania Zagłoby.

Kiedyci orkiestra zafalszowała jakiegoś „oberwań-tasa“ — wszystko zakotłowało się w ruchu.

Dziewczyny strojne, pawiaście, w chusteczkach jedwabnych na głowie, a spódnicach w desenie — zbierały się osobno, gadały nibyto obojętnie, ale jedna drugą ciągiem podpatrowała, czy suciej przybrana, abo bardziej od niej w pasie zgarnięta.

A skąd się to tego tyle nazbierało? — myśleli gospodarze, ale na dźwięki muzyki przez pola biegły jeszcze coraz nowe dziołchy i tustąd, i tustąd, aż ze wsi z pod Miemca. Dopiero koło polanki szły zwolna — nibyto nieciekawe — chytryny!

Ale orkiestra nie żarciła, coraz to jakiś kawałek wy-cięła z życiem, z chlustem, z rozmachem: zwięzły a wymowny; roztupany, rozhukany: zryw do tańca!

Zagłoba wściekał się na krótkość melodyj i coraz łapami rąbał powietrze, bo umowa z orkiestrą „stała“ wyraźna: każdemu z grajków kufel piwa co trzy muzyki. Wreszcie obraził się, zrezygnował z gniewu, tylko kufle dawał coraz mniejsze.

Publika chciała tańczyć trojoka, albo kuminiarza, wszystko nanic, bo muzykancja częstochowiacka ciągle te polki a zaś oberki. To też powstańcy i dziolchy, kto gdzie mógł, chytał się jedno drugiego i w sam wir, w samą muzykę, w sam hałas... Drewniany parkiet dawnoby poszedł w rozsypkę, w drzazgi, przy tych mazurkach podkasanych a poskocznych, przy tych podrygantach „z niemiecka“, przy oberkach przysadzystych z warjackim zakrętasem. Polana jakoś wytrzymała — tylko trawa, z korzeniami wyrwana, śmigająca z pod obcasów w takt trąb, które aż pokładały się od śmiechu.

Trzęsienie powietrza, wodospad huku, piekło!

W przerwie, znów, wszyscy naraz: hurra — na Zagłobę! Ledwie nadolił, z pomocą sześciu chłopaków, powstrzymywać te ataki: rozlewać piwo a zgarniać przytem walutę do potężnego worka, wkopanego w ziemię. Po prawdzie, kto nie chciał płacić, to i nie płacił, przecież i tym, bez grosza, chciało się pić. Postrach doglądał porządku, rozdzielał powaśnionych (a wiele tego było), zachęcał starszych do zabawy, ale oczyma (jeśli nie mógł rękoma) otaczał ruchomą kibić Betti. Ona tu była chyba najkraśniejsza, a w płasach roztrzepotana, jak ten ptak, zda się pofrunie za chwilę... Chustkę błękitną zsunęła na tył głowy, kremowymi rękawami puszyła, potrząsała w tańcu, a pierś ściśniętą stani-

kiem niosła wysoko, powitalnie, a biodrami w takt huśtała spódnice fałdzistą, wybiglowaną, że aż muzyka od niej nabierała życia. Zły urok miała w sobie, jakiś cygański czar, miodność słodką i lepliwą.

— Betti, tyś tu najpiękniejsza na tej zabawie — szepnął Postrach, wyczuwając rękoma przedziwne ruchy jej ciała.

Potrząsnęła głową i zgasiła oczy powiekami:

— Nieprawdo, Rena Bandurek je piynkniejsza, bo jasno, a oblykła se fajne kiecke modre i twoim koleksom se przychlybia — po przerwie zaś dołożyła z żalem i nieukrywaną zazdrością — mo sztyrnaście morgów pod pszynicą, a tako frelka wszandy i wdycki najdzie se karlusa.

W odpowiedzi na te dowodzenia zagarnął ją tylko głębiej, zupełniej, i wirował jak wiatr z zerwanym liściem: poszumnie, szelestnie, bezciężarnie. Usta zmęczone rozmową oparł o włosy sypkie jak piasek narzany, lśniące jak rzeka w słońcu.

Dziwnie błogo czuła się w tym mocnym uścisku, zamykającym jej serce samotne. Bracia zginęli pod Verdun, dekorowani „żelaznemi krzyżami“ i ojca też pochowano z medalami na całym cieple od bagnatów i obcasów niemieckich... Boże!

Często musieli się rozłączać, odstawać, bo Postrach pilnował, aby na czas rozpalono ogniska, biegał co chwila to tu, to tam, a teraz znów witał kompanijnego.

— A jak tam zaś przespieczność, he? — pytał Precz. — Słyszeliśta, co tyn psileb — pierona — zeznał wczora!

— Bohun czuwa z 4-tym plutonem — wysapnęły zmęczone płuca Postracha...

— A cóż zaś to on nie lubi tańcowaczki?

— On już swoje serce ulokował kajindziej, meldując posłusznie — wtrącił się Skrzetuski, zapraszając dowódcę do stołu.

— E, to zaś nie przeszkoda — uśmiechnął się Precz z głupiej miny Skrzetuskiego i siadł przy kuflu piwa.

Kompanijnego kochali wszyscy. Wyrósł z tej ziemi jak dookólne drzewa i chaty. Był swój, tustąd: Ślązak. Tłukł się po różnych frontach, bo duch walki go opętał. Na znienawidzony uniform pruski sypały się krzyże, medale: ani się uśmiechnął do nich. Na twarz spadały blizny: nie zważał nawet. Zacięty był, jak zardzewiały zamek.

I teraz oto cichy, przymrużony uśmiechem, w szarej żołnierskiej bluzie z białą-niebieską opaską na ramieniu, siedzi, czuwa... straszy!

Schwarzer Deibel! — szepcą z tamtej strony. Nienawidzą, klątwami gryzą.

— Pofolgujta se, pofolgujta se chłopcy jak smoki, nie zwożejta na mnie. Posiedza tukej, zaś pójda i byda miarkowoł, kandy Bohun se smyka.

Otarł pianę z posiwiałych wiechci, zagryzł kawałkiem kiełbasy i patrzył przed siebie uśmiechniętym, chorym wzrokiem, jakby spoglądał w oczy osobie ukochanej ponad życie. A serce w nim rosło, rosło... wyrastało jak wielki, stupiętrowy gmach.

— Kadeci... — szeptał zasluchany. — Przecież i tam, za kordonem, są młode serca dzielne, żywe! Żywe! Za-

to ci starzy... brr... zarżało w nim serce... Pamięta te brudne miasteczka. Ulice między kociemi łbami wylane błotem, pijanych robotników i te czarne mrowisko nieznane, milczące, obce: żydów. Nie zapomni, że go jak psa ganiłi po Wyszkuwie, aby oddać w ręce czczewyczajki. Nie zapomni, że jego pięciu towarzyszom przed śmiercią skórę zdarli z rąk, aby się bolszewikom przypodobać! Takie im katusze potem zadawano, takie tortury, że nawet hen, dalekie wsi słyszały nieludzki ryk męczenników.

A orkiestra pienila się, jak piwo, lane zwysoka... znać, że muzykanci często gasili pragnienie. Trąby rosły, wyciągały szyje i każdemu z tańczących osobno, prosto w ucho, grały porywające melodye...

Stawało się coraz goręcej, duszniej, nocniej, drzewa w lesie obracały się w takt melodji, niebo przestępowało z nogi na nogę, wreszcie ziemia poczęła ciężko sapać, uginać się coraz bardziej, coraz stromiej... aż zakipiały ciemności.

Skrzetuski wyprzedał kiełbasę i, naśladowując swego kolegę-Szwolężera, przebierał do tańca dziewczyny jak ulęgałki. Szukał partnerki godnej siebie. Niestety, szukał napróžno.

Sęp nie odstępował od czarnej piękności wsiowej: Reny Bandurek. On przed nią swych kolegów wychwala, ona swe „sztynaście morgów pszynicy“ i tak tańczą.

Lermon prześladował Betti. Nastawał, aby poszła z nim w las, gdzie nauczy ją modnych pas „à la Winiawa“.

Śmiała się z niego i cierpliwie czekała przy orkiestrze nadejścia Postracha. Tak się byli umówili oboje. Spotkali się właśnie, gdy muzyka przerywała. Wtedy on poskoczył do trębaczy, pokazał na siebie, na Betti i znów poszła polka-pohulanka z całej piersi, z całej słowiańskiej rozlewności, z całego roztupotu.

Lermon teraz, widząc jej twarz natchnioną tańcem, zrozumiał wszystko. A „wszystko“ znaczyło: „Betti woli jego, niż mnie“. Dotąd nie wierzył w to, bo i nie chciał, i nie mógł wierzyć. Wszystkie dzisiejsze poszepty Betti i Postracha brał za chęć rozbudzenia w nim zazdrości. Śmiał się z tych czułości, udawał, że ich nie spostrzega: był pewny siebie! W życiu nie poniósł przecież żadnej klęski — czy to na Plantach, czy w parku Stryjskim, czy w Łazienkach — aż uwierzył wreszcie, że zawsze będzie zwycięzcą. I oto teraz, nagle zrozumiał, odczuł raczej, że twarz Betti nie kłamie. „Ona go kocha!“ wyznał sobie otwarcie, pobudzając się tem do zaciętej walki. Wiedział, że walczyć będzie ambitnie, jak mistrz, któremu chcą wydrzeć pierwszeństwo. Miał przecież wszelkie szanse zwycięstwa! Czyż jeszcze przed przybyciem Postracha nie wyznała mu Betti, że o nim myśli po nocach? Wprawdzie, wpatrzony wówczas w Renę Bandurek, nie zwracał na nią uwagi, ale przeprosi ją teraz za wszystko i powie jej wszystko, właśnie teraz, w tym lesie, chociaż jest pod urokiem innego.

Porwał do tańca pierwszą z brzegu, potrząsnął nią w lewo, w prawo, jakby chciał mścić się za krzywdę, za

niesprawiedliwość i pociągnął ją za sobą w skrzypiące igliwem i pachnące od szyszek ciemności.

Stare kumy stanęły opodal i przypatrowały się z rozczuleniem powstańskiej, szumnej fantazji. Jak żyją, nie pamiętają tyła życia, młodości i szczęścia do kupy.

— Ano inakwsze czasy zaś nastały, inakwsze — szep-tały między sobą. — Wyciepli grenszuca weg...

— Ja... ja... wymiatali tustąd chyłkiem, jak zmyci.

— Lepiej byndzie ludowi nie? Chocia i biyda uciśnie — dyć przeca swój wyrozumie, dopomoże, a nie zapieronі tylko: „krojc-imel“ jak tyn żandar mie-miecki.

— Prawdo, prawdo Michelowo... trzaby zaś tych grafów pokarać, iże nos cisnyli bez tela wieka.

Ale muzyka nie myślała o niczem: rozzuchwalona tup-ała nogami, waliła o gałęzie coraz nowym chórem i śmiała się do rozpuku z tych, co wątpią, co się lekają, z tych, co płaczą.

— Betka, mnie się zdaje, że myby razem szczęśliwi byli — co?

— Oj, ja... — wyrwało się z głębi — samej źle... — a po chwili dodała chmurnie: — rada cia widza, a ty zaś telko pożarcić chcysz ze mną — prawdo to?

— Betka wstrętna, dokuczasz mi. — Zgiął ją do tyłu, aż warkoczem trawę zamiotła i dalej w ruch... szczę-śliwi.

Sinusy i tangensy, rządy triumwiratu i koncert Jan-kiela — wszystko to było, przeszło. Teraźniejszość to: kął nachylenia karabinu, wolność Śląska i wielki, nie-samowity koncert powstańczej orkiestry. Nie dzieliło

go od Betti nic, żadne przesady, chyba te wstążki, ten stanik twardy jak pancerz i ta odrobina światła roztopiona w zmroku.

Gdy muzyka piła piwo, poszli popod las i śmieli się, że coraz to inną parę wystraszają z za drzew.

— Chciałabych wiedzieć, czy Rena Bandurek je tuka.

— Jest, jest — mamrotał Postrach i usuwał się w jej rozwarte ramiona coraz zupełniej. Pocałowała go z uśmiechem i z niewinną radością, lecz jak płomień świecy zapala inną świecę, tak on rozgorzał od tego pocałunku i zatopił ją w swych objęciach. Odskoczyła jak sprężyna i jak sprężyna opadła na mech, zwinęła się w kłębek, zrosła.

— Łuczyska... ci świecą źle — szepnęła przełęknionym, napół pękniętym głosem.

Siadł przy niej. Zwolna, ciepło zaczął rozwijać jej ręce. Głowę, pełną różnych myśli, przechylił w dłoniach, jak pomarańcz: nadgryzł i począł pić pełnemi haustami gęsty sok pocałunków.

— Telko prosza cia, nie tyk mie, roznimóc sia moga łod szczynścia — załkała w półsennem odurzeniu.

— Nie bój się — uciszał przebudzony, bo proste jej słowa strąciły go na ziemię.

Zabełkotała w odpowiedzi jakieś wyrazy: bańki mydlane. Ledwie błysnęły — pękły bez śladu.

Postrach wiedział, że Lermom lub Skrzetuski wyśmieliby jego niezaradność, ale wiedział również, że nie mógł, nie mógł być innym. Miało to być przecie jego „poznanie kobiety“. Począł nasłuchiwać: zdawało mu się, że czyjeś kroki pękają wpobliżu; począł wzro-

kiem pytać ciemności i sam sobie odpowiadał, że jest tu ktoś, że ktoś się czai tuż-tuż na tle łuny dalekiego ogniska.

A Betti — jak na złość — przebudziła śliwkowe, rozgorączkowane spojrzenia i zaatakowała go całym ciężarem zbuntowanych piersi. Ramiona jej, dotąd bezwładne, zamknęły mu nagle szyję i ciągnęły gdzieś wdół, w przepaść.

Już, już miał przyjąć wyzwanie, gdy nagle poczuł raczej, niż posłyszał jęk jakiś wyłamany z ciemności.

Opamiętał się i począł szeplenić w sobie zaklęcia dziecinnej modlitwy...

Właśnie na skraju polanki, przy ognisku, powstało zamieszanie. Ktoś go wzywał. Rozwarły się kleszcze objęć i Postrach, z lekkim sercem, poskoczył w kierunku odgłosów.

Posłyszał, jak za nim kurtyna opadła z jękiem. Biegł, gnany do światła niematerjalnym, i przez to silniej jeszcze odczuwalnym, batem lęku.

To Bohun przywiódł drżącego starca.

— Peter z Leśnej! — zawołało kilka głosów...

Starzec spojrzał początkowo nieufnie po zebranych, ale uspokoił się, widząc swoich. W blasku ogniska wyglądał na Abrahama przed gorejącym krzewem. Jego mleczne, równo ucięte włosy pełzały po zgarbionych plecach. Twarz miał ulepioną z ciemnej gliny, popękaną od gorącości długiego, dziś już zmarszczonego, życia...

Zanurzył paluchy zakrzywione i pełne piachu we włosy i wymamrotał jakby sam do siebie:

— Zaroski byndzie szturm... Kandy je Czarny Djobeł?

Sierżant Precz i kilku starszyny odeszło naubocz ze starcem.

— A zaś nie bojał sie Peter przecić bez linje aż tuka? — pytali.

— Ja już sia nie spietrom — niechta wezmią na mynki: ani piskna. — Zamyślił się i, wskazując tańczących, szepnął nieśmiało: — zawsze oni... to tak nieby telo, co swoi.

Precz już wydawał rozkazy.

Kto mógł z cywilów „wrywał“ do siebie lub do Wysokiej.

Powstańcy odeszli do swych oddziałów, tylko orkiestrę kompanijny zatrzymał i kazał jej przygrywać od czasu do czasu, a pierwszy pluton podsyczał ogień i wykrzykiwał taneczne: u-ha!

Wiadomo było, że „Studentenbataillon“ wymaszerował z Leśnej do dworu w Wachowicach i stamtąd miał podeść rozbawionych powstańców. Wszystko mu się układało znakomicie.

* * *

— Siehe da — diese aufständischen Lumpen — warczeli między sobą, oczekując hasła do wymarszu. — Zapłacą nam za te tańce! We dwie godziny będziemy w Wysokiej, a jutro w Lublińcu!

Odgłosy muzyki, pływające po jeziorze ciszy, drażniły ich nastroszone, krogulcze myśli.

— Tańczą te slavische Leichtsinn, i to przy ogniskach! Wszystkie te dziewczyny przygnamy tu „na przesłuchanie“ — uśmiechali się do siebie, gadali sprośności i potężnymi kułakami trącali się po brzuchach.

* * *

Gwiazdy rozpały się na dobre. Wiatr obalił kielich księżycy, z którego wysypały się perły mlecznej drogi. Chmurki, jak przejrzyste strusie pióra, wachlowały niebo. Cisza była kryształowa, pełna rosy i zapachu pól. W zbożu za szosą zakochane chrząszcze przyzywały się jak ptaki. Gdzieś we wsi kundysy poszcze kiwały dobrotliwie, po psiemu, jak za dawnych, spokojnych czasów.

Tylko chrapliwy, rżęzący ryk trąb co pewien czas gwałcił sielankową noc, a wtórowały mu okrzyki jakieś gardłowe, nieszczerze, prawie rozpaczliwe. Kadeci leżeli wzdłuż szosy. Poprawili okopania, przeliczyli ręczne granaty.

Postrach przechodził poza linią. Jemu, który zdobył już pod Lwowem i pod Radzyminem rangę kaprała, powierzył kompanijny nadzór nad „odcinkiem powstańczyków“. Oprócz sześciu kolegów, miał w oddziale dziesięciu zaufanych „cywilów“ z Wysokiej. Tutaj, na skrzyżowaniu dróg spodziewano się głównego nałomu.

Postrach dumny był z zaszczytu, jakim go Precz przyozdobił, i zaprzysiągł sobie w duszy, że nie odda pozycji bez rozkazu dowódcy.

Ogarnął go uroczysty nastrój, jakby klęczał do pierwszej komunji, jakby śpiewał z całej piersi chorał „Z dymem pożarów...” Tu w migawkowe myśli Postracha wpadł nagle obraz jak bomba: 11 listopada 1918 roku; tłumy przed kościołem św. Krzyża. Jakiś starzec — weteran siwobrody — może sam Wernyhora — na balustradzie przy Chrystusie. Cisza uparta, zakamieniała przylepiła się, przywarła do serc, do ust.

— Dzieci, słuchajcie! Jesteśmy wolni!

Jak kamienie spadły te słowa na tłum zasłuchany. I nagle ryk, chyba zwierzęcy — przeszedł, przebiegł, przetętnił nad głowami i przełamali się w kolanach, syjąc się w błoto, w śnieg...

Ryk ten, ten płacz, te ręce w górze: to ostatni, oby na wieki ostatni, pożegnalny chorał „Z dymem pożarów”.

Pokłos miał w gardle proszki łez, których nie mógł przełknąć... Dreszcz wilgotny ściekał mu po plecach.

— Nie cofnę się, niech cała Rzesza Niemiecka przyjdzie tu na sąd za pruskie zbrodnie!...

Wyrwał się z objęć zamyślenia. Znów był sobą — nabojem, gotowym do wystrzału.

Spojrzał na kolegów. Czuwali — tylko Lermon, który z lasu powrócił ostatni, wpatrywał się zamkniętymi oczami w jakiś inny, nierzeczywisty świat.

Przed nimi — szły pola, zasiane żytem, szły sobie pomaleńku, coraz niżej i niżej w noc letnią. Na horyzoncie jak okręty sterczały milczące budynki dworu: twierdze, z których miał nastąpić wypad.

Za nimi — łąka i las flirtowały bez przerwy żabim, namiętnym rechotem.

W razie przerwania frontu powstańcy mieli cofnąć się w zabudowania gospodarskie nad brzegiem bagnistej łąki i tu bronić się do ostatka.

Tak chciał kompanijny, a on wiedział chyba, czego chcieć!

— Zagłoba — nie licz teraz pieniędzy! — mruknął Postrach.

— Ja nie liczę, tylko zakopuję.

— Cicho.

— Pssiakrew, ka... ka... rabin ja mam pe... pe... pecha... — bąkał Wołodyjowski, szamocąc się z zamkiem.

— Jest tu pięć rezerwowych karabinów — pocieszał go kolega - dowódca.

Skrzetuski chrapał tak głośno, że trzeba go było zbudzić.

Orkiestra zaczęła grać Rotę... Majestatycznie prze-walała się melodia nad śląską nocą, nad grozą szturmu, nad zapowiedzią śmierci, jakby tu cała Polska składała przysięgę, że nie da sobie wydrzeć ziemi, że nie ustąpi z tej szosy ani na jeden krok, ani na jedno źdźbło trawy.

Na czyjś rozkaz przerwała orkiestra — ale powstańcom serca grały dalej: — „Tak nam dopomóż Bóg!“

Słychać było w ciszy jak żyto szeleści. W bladem oświetlu księżyca cienie jakieś płynęły ku szosie, nad szosą, wreszcie na drodze, tuż przed kadecką linją, ukazało się kilka głów, rogatych karabinami.

Jak za pociśnięciem sprężyny muzyka zagrała mazurka Dąbrowskiego, ale zdaleka już... na pożegnanie.

Zostali sam na sam.

Czekali...

Niemcy wtaszczyli na szosę karabin maszynowy i ustawili go w kierunku cegielni.

Nasłuchiwali, zdziwieni ciszą.

Nagle, krótki, przejmujący gwizd przeszył bębenki żołnierskie, a po pięciu sekundach eksplozja kilkunastu granatów szarpnęła do żywego niebem i ziemią. Wytrzymali w rękach syczące granaty do ostatniej sekundy! Gruba, czarna warstwa kurzawy jeszcze nie opadła, gdy druga salwa pocisków zakotłowała ciszę.

Powstańcykowicie stali już na szosie i prali do gęstwy niemieckiej, która rozbiegła się w życie. Precz był przy kadetach. Dopomógł Sępowi odkierować pozostawioną na szosie maszynkę i nią zaśmiał się złowrogo, choć serdecznie — do rozpędu.

Taki był początek walki o panowanie nad szosą.

Dziesiątki świetlistych rakiet spływało teraz wzdłuż pola walki, jak węże ogniste, wypatrujące zdobyczy, jak serpentyny różnobarwne na wielkim balu wyzwolenia. Dym i kurzawa przysłoniły ścierające się linie.

Po niemieckiej stronie pięć karabinów maszynowych trajkotało, czekało bezustanku żelaznym głosem.

Powstańcykowicie cofnęli się w swe okopy za szosą. Krzyki rannych rozlegały się w zbożu zająkanym chórem.

— Atakują i od Leśnej — syknął Bohun, który nawet z tej kipieli hałasu wyłowić zdołał echo dalekiej trajkotady.

— Coby to była za masakra, gdyby nie ten stary Peter — myślał Postrach z przerażeniem nielada.

Zdobytą maszynkę okopano i stary cywil, Kowalak, niegdyś „frajter“ z c. k. m. — przysiadł się do niej z radością kawalerzysty, który odnalazł wreszcie swego rumaka.

Gdy nadszedł zapas amunicji, karabin zaparował pod ręką swego pana i narobił tyle hałasu, że zagłuszył całą linię niemiecką.

— Rozgadał się „nasz mały“ na dobre! — mówili kadeci o „swoim“ miotaku.

Ale zacięte były niemieckie studenty! Jeszcze dwa razy wracali z furją i wdzierali się na szosę, obrońcy jednak pracowali bez wytchnienia, bez oddechu, jak maszyny. Zamilkł w nich człowiek, zamilkł w nich zwierz, pozostała świadomość, uparty błysk: nie damy! nie damy!

Karabiny ich nie przestawały dygotać od wystrzałów. Małe chłopaki, które przyplątały się niewiedzieć skąd, roznosiły zapasy kul i zamieniały karabiny „wystrelane“ aż lufy ostygłą.

Czasami, na umówiony gwizd Postracha, oddział milkł, aby zacząć wygarniać deprymujące przeciwnika paczki salw, niby okrzyków zwycięskich, niby klątw, niby warczeń psa, któremu chcą kość wydzierać, — nie, — którego wyganiają z budy.

Walka rozpląnęła na całej linii. Od Oleśna po Zębówce — żelazne zęby pocisków zgrzytały w locie:

bitwa kłapała szczękami i ze wściekłością gryzła piach, gryzła drzewa, gryzła ludzi...

Z Wachowa, z Leśnej, z Kielbasina wysypywały się coraz to nowe zastępy Teutonów, rozgorączkowane zapachem krwi, dymiące głodem zemsty nad słowiańskim „zbuntowanym“ ludem. Ale ten — wiecznie potulny — lud zrozumiał wreszcie, że jeśli ustąpi: zginie, jeśli będzie trwał: zginie... albo zwycięży!

Z jednej strony chęć zemsty i grabieży — z drugiej walka o prawo do życia: Fryderyk Wielki w zapasach z Bolesławem Chrobrym.

W czarnym pożarze nocy niemieckie szeregi niosły przed sobą wojnę, najeżoną śmiercią i kulami, obrońcy na okopach postawili miotacze wolności: każdy ich pocisk był ziarnem pokoju, każda śmierć — zasiewem nowego życia!

Nad ranem rozpacz już tylko walczyła po obu stronach... Palce na karabinach drętwiały i przez całe minuty niezdolne były do ruchu. Oczy były wyżarte. W piersiach, w gardle tłukło się rżenie, gruba, nie do przełknięcia, flegma zastąpiła ślinę.

Wreszcie, gdzieś za lasami, Niemcy obeszlą linję i zaatakowali z flanki, a bataljon studentów z wyciem, z nie-ludzkim hałasem przypadł do szosy.

Front obrońców, jak wąż ukłuty, zwinął się i odskoczył do tyłu...

Kadeci stanęli w zagrodzie wieśniaczej, która miała być ich „Lwowem“: fortecą niezdobytą lub trumną. Kowalaka, ciężko rannego, wyniesiono za chatę. Po nim przysła kolej jeszcze na dwóch cywilów...

Okopano się pod płotem. O cofnięciu się nikt nie myślał: trzebaby oddać rannych towarzyszy w ręce pruskich korporantów.

Przy maszynie zasiadł Sęp, a wkrótce zmęczonego zmienił Postrach.

Nastąpiła chwila przerwy.

Z jękiem chwytano oddech. Słysząc było naprzeciw nowe, maszerujące oddziały niemieckie. Szły z brzękiem i z rozkazem zwycięstwa.

Może to będzie moja ostatnia rozprawa... pomyślał Postrach i przeżegnał się machinalnie. Począł się zastanawiać. Właśnie teraz, w obliczu zbliżającego się rozstrzygnięcia, pomyślał, że gdyby zginął, niktby go po śmierci czulej nie wspomniął. Nikt, bo nikomu na życiu jego nie zależy. Podświadomy egoizm, chęć trwania i po śmierci eksplodowała w nim jak granat. W ciemności zaświecił reflektor: myśl o Betti. Uczepił się tego blasku kurczowo, spazmatycznie, aż z wysiłku poczuł fizyczny ból w skroniach. Aby się opamiętać — spojrzał na towarzyszy. Twarze mieli umoruszone, oblepione gliną i wykrzywione zmęczeniem: niewykończone rzeźby z pomnika potępiającego wojnę. Chuchali w zgrabiałe paluchy. Lermom kłął pocichu, że nie może zapalić papierosa.

— Żeby tak coś zagryźć — jęknął Skrzetuski i myślał był pewnie przy kielbasie i beczce z piwem. Jego szeroka, płaska twarz wyglądała jak kawał kory sosnowej.

— Już... już... Nie... Niemcy się szy... szykują —

szepnął Wołodyjowski, który nad podziw, trzymał się dzielnie, a Postrach dodał ciężkim głosem:

— Od tej walki zależy, kto z nas dostanie „Virtuti“...

Te słowa zachrypnięte podziały jak szklanka herbaty z rumem.

Bohun — już prawie bezwładny ze zmęczenia — znowu wysunął karabin, przypominając, że jest gotowy do dalszej potrzeby. Przebudzono Skrzetuskiego, który już zdążył chrapać, a Sęp podniósł głowę ociężałą z bezsenności i szepnął:

— Jesteśmy jak bracia: albo wszyscy dostajemy krzyże, albo nikt.

— Wszyscy albo nikt! — zawołały gardła wypoczone i spalone kurzawą.

— Może i wy, cywile, też dostaniecie — mówił Skrzetuski generalskim głosem, wydłubując z nosa kawałki gliny.

— Ciszej, nie wychylać się z okopu! — rozkazał Postrach.

Niemcy przeszli poprzez drogę i posuwali się do zabudowań. Nie przypuszczali, żeby front powstańczy, rozcięty w kilku miejscach, mógł stawiać opór przed Wysoką. Zresztą, dotąd nikt nie strzelał z zabudowań, chociaż miałby cel znakomity.

Ale gdy byli już pod samymi ścianami zagrody, przywitały ich nerwowe, nierównomierne salwy.

„Maszynek“ zachrząścił jak kosa śmiertelna. Szas... Szas... Postrach nie żartował. Spokojnie zwałił ręce na rozedrgane cugle i zwolna obracał pyskiem ognistym swego rumaka. Z pod nóg zaskoczonych Niemców

wybuchło pasmo kurzawy. Kto je przestąpił, schylał się wpół, rozczapirzał ręce niczem krzyż na grobie samobójcy i walił łbem o ziemię.

Wtem krzyk rozpaczcy zerwał się nad Lwowem powstańczyków.

Niemiecka maszynka rozklaskała się tuż zboku, z cegielni.

— Cofnął się Precz z kompanją — syknął Postrach.

— Wytłuką nas w tej dziurze — sapał Skrzetuski bez opamiętania.

— Ratunku! — wył śmiertelnie ranny cywil.

— Ja się nie cofnę! — dławił się Zagłoba brakiem śliny — łajdaki wykopią mi pieniądze!

Milczeń! Psiakrew.

Zsunęli się tylko głębiej w okop i strzelali mniej.

Na szczęście wyręczył ich niemiecki karabin maszynowy, który z cegielni tak szeroko się rozmiotął, że kilku swoich potrafił... Atakujący przyłgnęli do ziemi.

Wtem jakaś detonacja groźna, tłumiąca wszystkie hałasy w ogłuchłych uszach żołnierzy.

Artylerja!

— Skąd te dranie wzięli tu armaty... jęknął zrozpaczony, walczący już przez sen, Bohun.

Chwila martwego zasłuchania.

— To nasi! — szarpnął się Postrach.

Chcieli krzyczeć: „Hurra!“ ale dusili się tylko w szepocie.

Tak... Pancerka — pewno sam „Pieron“ — stanęła na torze i prała niemiłosiernie, aż w powietrzu zrobiło się jaśniej.

W zieleni i purpurze wschodzącego dnia ujrzała re-duta powstańców, jak drugi baon porucznika Juranda szedł do kontrataku na cegielnię, nie szedł, ale nabrał rozmachu z góry i toczył się niepowstrzymanie.

— Górnoślązoki, sapierony idą! Weg Schwaby!

Roztrzepotały się maszynki na wszystkie strony, trzaskały z batów, pożerały powietrze, krztusiły się ogniem!

A powstańcy czapki nasunęli na uszy, kostuchę popychali przed sobą, i śmieli się jak karabiny maszynowe, gwizdali jak same pociski.

Niemcy, zakuci w żelazne hełmy, wymykali się co sił z cegielni. Pancerka przerzuciła ogień na szosę, przez którą musieli przebiegać. Zator — wodospad żelaza — jak ukrop zlał się uciekającym na głowy.

Kadeci wywlekli się z okopu i strzelali drżącymi rękoma raczej na wiwat, niż do celu, bo powieki ich były zaklejone niemocą.

Maszynka ich wystrzeliwała... ostatnią gurtę.

— Naprzód! — pisnął Postrach, uniesiony wizją zwycięstwa. Poczeli iść przed siebie, ale po kilku krokach ostatniego, już sinego, wysiłku Wołodyjowski i Bohun osłabli, potknęli się i padli na ziemię. Reszta przysiadła bezsilnie. Skrzetuski majaczył, Lermont ze zgrozą oglądał swe zeszytniałe, do krwi podarte, palce.

Słyszeli jak nad nimi i koło nich przebiegali powstańcy, słyszeli przez opuchłe uszy krzyki i wystrzały z coraz dalej, jakby z wewnątrz siebie...

Siły chłopców dawno już wlekły się ostatkiem. Od kilku godzin pracowała w nich jedynie bezwzględna wola przetrwania.

Widok zwycięstwa przełamał napięcie woli jak ze-schlą gałąź.

Odtąd byli bezsilni, niezdolni do najmniejszego wysiłku: dzieci zmęczone długą chorobą.

Dopiero, gdy sierżant Precz z ręką na zakrwawionym temblaku podeszedł do nich — podnieśli głowy.

— Brawo, smoki pierońskie, zwyciężyliśmy! Wszyscy zdrowe?

Spoglądali nań smętnym, umarłym wzrokiem, jakby nie rozumieli, czego od nich ranny dowódca może żądać.

— Zdrowi... zdrowi... — szepnął Sęp po raz pierwszy w życiu starczym głosem.

Postrach podniósł się na nogi, zasalutował i chciał coś mówić, ale słów swych widocznie nie słyszał, bo nagle począł krzyczeć:

— Panie kompanijny, kadet - kapral Pokłos melduje: pięciu cywilów rannych. — Był jak napółodurzony chloroformem, uściskał się czule z dowódcą, poczem siadł ciężko na ziemi.

— Chcemy pić — odezwał się Zagłoba przez nos, który mu napuchł i robił wrażenie, że się za chwilę odklei.

Podano im manierki z jakimś napojem. Przywarli do nich nerwowo, skurczem ust i ramion, wysiłkiem całego ciała.

— Chodźta zaś podziwić wasze masakry — zachęcał kompanijny. — Byndzie kole szterdzieści trupa.

Nikt z powstańczyków się nie poruszył.

— Zakopcie ich — szepnął Sęp — co nam po takim widoku.

— Pierwszy pułk szwoleżerów — zaczął Lermont, któremu po wypróżnieniu manierki powróciło zamiłowanie do kawalerji — nigdy nie ogląda trupów ani jeńców, ale wali naprzód...

Uśmiechnięto się, widząc sposobność do żartu, ale nikt nie miał ochoty się odzywać; zresztą, Lermont wstał szybko i podążył w kierunku wsi.

Wołodyjowski przyznał się z dziecinną szczerością, że nigdy w życiu jeszcze nie widział trupa. Biedak zgubił gdzieś okulary, co go doprowadzało do rozpacz, bo chciał koniecznie „na gorąco“ zapisać w dzienniku wrażenia nocnej bitwy.

Pobojowisko rzeczywiście było straszne. Na samym zwale drogi głowami w rowie lub zębami w piachu szosy leżało kilku poszarpanych w okropny sposób: to ofiary pierwszych granatów.

Pozatem zwłoki, niczem wielkie, polne głazy, były porozrzucane po całym — wydeptanem i skoszonym kulami — zbożu.

Sanitary mieli mockę roboty ze znoszeniem ciężko rannych.

Żołnierze grupami zwiedzali plac nocnej walki. Właśnie wydano im podwójny fasunek chleba i marmolady. Zajadali łapczywie, przewracając przytem trupy, aby zobaczyć, gdzie otrzymali postrzały, lub przypatrując się rannym, którzy konali i wili się u ich stóp w śmiertelnych drgawkach.

Marmolada rzeczywiście była wyborna; przecież nawet wieśniaczki chętnie ją zamieniały na kielbasę!

Postrach odetchnął, widząc, że powstańcy nie odziewają trupów z ubrania. Przypomniawszy sobie, jak pod Lwowem sam ściągnął buty z nóg konającego Rusina, któremu w piersiach przestrzelonych grały całe organy świstów. Miał wówczas 16 lat, a jego bose stopy popuchnięte i zaropiałe od ciągłych marszów same domagały się obuwia. Dwa tygodnie po śniegu na bosaka — to nie żarty!

Połknął kawałek chleba i powłókł się wprost do Zaborzynej chaty.

Wchodząc do zagrodzenia, usłyszał podejrzany stukot o ścianę. Z wnętrza chaty dochodziły go odgłosy szamotania, przerywanego zadyszaną rozmową. Wbiegł do sieni. Zwalił się na drzwi całym rozmachem. Zamknięte. Znał to zamknięcie: podważył karabinem od dołu, pchnął ramieniem i był już w izbie.

Hałas zdmuchnięto przed nim i słyszał tylko, jak pogniecione siano z szelestem prostowało się w ciemności. Okiennice były zamknięte. Wprawdzie z sieni wysypało się za nim nieco półtonu, ale oczy, ogłuszone nagłą zmianą oświetlenia, nie widziały nic.

Posunął się w kąt najciemniejszy, z którego sączył się szept słomy. Nagle w ciszy rozległ się przeraźliwie wyraźny głos Betti: „idź weg!“. W odpowiedzi na te słowa posłyszał Postrach szurgnięcie buciurami po słomie i ktoś przeszedł tuż koło niego. Poomacku wyciągnął karabin, aby zagrozić wyjście z chaty, ale na powstrzymanie było już za późno. Całą moc spojrzenia rzucił na trójkąt półjaśni, podpierający drzwi. Poznał.

— Za... tłukę! — wyrwało mu się z gardła, z piersi, z bebeczków, jak warkot złego psa. Zarepetował karabin i postąpił dwa kroki... gdy powstrzymała go stanowcza choć cicha prośba z podłogi:

— Poniechaj go i chodź!

Nie starczyło mu sił, aby sprzeciwić się jej rozkazom po takiej nocy. Zawrócił. Gdy pod nogami wyczuł materac siana, przysiadł na nim ciężko. Dopiero po chwili powiódł zmęczonym wzrokiem po izbie. Z piwnicy wynurzała się zaropiała smuga naftowej lampy: to stara Zaborzyna nie śmiała jeszcze po piekielnej nocy opuścić schroniska.

Kule poprzebijały drewniane ściany chaty na wszystkie strony i od małych otworków, które błyszczały jak gwiazdki albo jak czerwie świętojańskie w letnią, świeżo skoszoną noc, robiło się w izbie cieplej i jaśniej.

Betti leżała wpobliżu na sianie i patrzyła z przerażeniem na obłocone, podarte ubranie i na drżące ze zmęczenia ręce „swego“ powstańcyka.

— Strachliwo, jędzosko noc — wyszeptwała.

— Oh, straszna — myślał z wyrzutem o niespodziewanym gościu i o wczorajszym wieczorze. Cóż, bo-

wiem, modlitwa, coś pomogły lęki i nieśmiałość, skoro przywłókł się tu do niej z prośbą o ucieszenie rozklekotanych bitwą myśli i przerażeń. Teraz — po tem, co ujrzał w chacie — chciał, musiał zdobyć prawo nazywania jej na zawsze: „swoją“. Chwytał się tej myśli, jak tonący liny ratunkowej: on, tonący w próżni, do której wtrąciło go życie. W oddechu bliskiej śmierci zrozumiał dopiero, że celem i sensem jego podświadomych tęsknot była chęć opiekowania się istotą słabszą, której ta opieka przyniosłaby szczęście, jak żołnierzowi szczęście przynosi głos artylerji, która go bierze w obronę przed śmiercią.

Uklękła na sienniku i objęła jego głowę w gorące od snu ramiona. Jak bandażem piekącym owinęła mu szyję i do brudnej, zielonej koszuli nie brzydziła się przycisnąć swych ledwie okrytych piersi.

Fala nowej mocy napłynęła Postrachowi do ust, do rąk... Nie śmiał o nic pytać, o niczem wątpić. Słuchał, jak mówiła mu, że noc całą drżała o jego życie, że przyszła tu właśnie przed chwilą, bo wiedziała, że go zobaczy. Wszystko, nawet te uściski, nawet te pocałunki przygotowała sobie w nocy i nauczyła się ich napamięć. Przecież mógł zginąć... Wystarczyłby mały otworek w piersiach. Usta ich zlepiały się na długo. Zamknięte powieki ośmielały ich nawzajem.

Nie słuchał, zatopiony w kontemplacji nowych, niepoznawanych jeszcze, wzruszeń.

— Wiedziałaś, iż terazki przyńdiesz do mnie — wszeptła mu w usta.

Pocałunkami odpowiadał.

— Trzym mie! — prosiły wargi jej, nienakarmione dotąd i pękające z posuchy.

Samotność zamknęła ich w ciepłym pudełku milczenia. Siano wdierało się do piersi niesamowitą, tropikalną wonią.

Leżeli omotani w ramionach, pogrążeni w sobie, z głową nakryci duszną kołdrą pieśczoł.

— Betti!... — westchnął Postrach zbyt głośno...

Oprzytomnieli. Poczuli, że płyną na falach oddechu przez wielką, księżycową Świteż milczenia.

— Przyńdzi tudotąd w nocy, bez łokno — kuśiła. — Mama źle słyszą.

— Przyjdę — odszepnął namiętnie, ale wnet temu zaprzeczył, jakby chciał brutalnie stłumić w sobie myśli o nocy weselnej, spędzonej tak na pachnącem sianie, w tej izbie pełnej gwiazd: — Jestem żołnierzem i muszę nocować z oddziałem.

Zdanie to brzmiało tak opryskliwie, że sam się zadziwił. Aby opanować wzruszenie i nie myśleć o tem, co było, rozglądał się po ścianach... Pragnął gdziekolwiek zawiesić swą uwagę. Aż nad komodą ujrzał wielką fotografię: młody chłopiec w pikielhaubie z „eiserne Kreuz“ na piersiach. Pod fotografią napis: „Korporal Boleslau Sabor vom 63. Infanterie Regiment. Gefallen auf dem Schlachtfelde im Kampfe ums Vaterland“.

— To mój brat, Bolek — wytłumaczyła Betti z dumą — Negry go we Francji zatrachli, szkoda zaś, boby sie terozki naco przydarzył.

— Może on walczył dla tego żelaznego krzyża — pomyślał Postrach i zrobiło mu się dziwnie przykro.

Wstyd mu było za siebie i za tego chłopca w pikielhaubie. A potem postanowienie nagłe: nie dać Niemcom Śląska, bo synowie, wnukowie obecnych kmieci polskich mogą stać się już awangardą „Drang nach Osten!”

* * *

Jeszcze tego wieczoru wyruszył patrol w kierunku Osieczka. Sęp szedł przodem, wskazując kierunek, za nim postępowali Postrach i Lermont. Szli długo i milcząc.

Rozwieszone między drzewami, suszyły się białe muśliny mgieł.

Nagle Lermont przerwał pajęczynę ciszy:

— Ciekawym, gdzie idziemy...

— Przed siebie — odburknął Postrach i wstrząsnął się jak przy dreszczu.

— A ja już dalej nie pójdę — oświadczył Lermont stanowczo.

— Boisz się? — padło pytanie jak wystrzał.

— To moja rzecz. Mówię, że nie pójdę i już.

— Pójdziesz!

— Nie pójdę. Chcesz pojedynku — bardzo proszę. Lepszego miejsca już nie znajdziemy — głos mu się rwał nerwowo.

Przystanęli.

— Właśnie o tem myślę — przyznał się Postrach, nieco zakłopotany, ale wnet stwardniał i pogroził — wytłumaczysz mi się pierw!

— Rób, co chcesz — postawił Lermont sprawę otwarcie — ani myślę się przed nikim tłumaczyć; ja ją ko-

cham, może i ty ją kochasz — musimy to jakoś rozstrzygnąć.

Postrach oburzył się:

— Ty ją kochasz? Ty, co za każdą spódnicą ugniasz się jak chart; ładna czy brzydka: byle była blisko ciebie? Ty lalusiu!

— Tamte, to co innego — oponował Lermón z gorzkim uśmiechem — mówię ci, że ją kocham, i jeszcze ciebie tu nie było, gdy miałem dowody, że i ona mi sprzyja.

— Co? — zgrzytnął Postrach — miałeś najlepsze dowody dziś rano. Jeszcze ci mało?

— Teraz, nie mówię, ale to wiem, że mnie kochała naprawdę i... pokocha jeszcze — zobaczysz!

— Zakończmy już raz na zawsze, ty idjoto! — rzucił się na niego Postrach.

Ale Lermón, choć słabszy, ani myślał się cofnąć i z radością przyjął wyzwanie. Trzymali się za gardła, gdy właśnie nadbiegł Sęp.

Wiedział już, o co idzie, więc spojrzał w ich natężone twarze z taką skupioną mocą, że bezwiednie opuścili ręce.

— Pojedynkę o kobietę — wyszeptał zamyślony — to podłe, to najtchórzliwsze rozwiązanie zatargu. Zastrzelić rywala w gniewie — no, jeszcze, ale na zimno celować w człowieka tylko dlatego, że go kocha osoba, którą się samemu kocha: to podłe, a teraz, w czasie wojny — to zbrodnia! O co wam idzie? Aby jeden z was ustąpił — prawda? Czy na to jest tylko jeden sposób: kula w łeb?

— Ja nie ustąpię, za nic — zaklął się Postrach.

— To może ja mam ustąpić?

— Ten ustąpi — rozkazująco wyrzekł Sęp — którego ona mniej kocha. Przecież to chyba jasne?

— A czy prawo pierwszeństwa nie istnieje? — zapytał Lermón wyzywająco.

— Co za prawo pierwszeństwa? Do czego? Mów zaraz! — dopominał się Postrach zajadle.

— Więc on mógł mi ją odbić, a mnie się bronić nawet nie wolno? — zapamiętywał się Lermón w gniewie.

Zanosilo się znów na starcie, które jednak Sęp potrafił zażegnać.

— Przecież macie inne jeszcze rozstrzygnięcie — tłumaczył im z całym spokojem, który jak mróz chłodził ich gorączkę. — Chodzi o to, abyście dowiedli, który z was ją silniej kocha, a więc po pierwsze, który nie zawaha się i życia poświęcić dla jej obrony przed wrogiem, gdyby tego przyszła potrzeba, a po drugie, który nie będzie zalecać się do innych dziewcząt, choćby piękniejszych od niej. Ot i wszystko!

— Drugi punkt jest skierowany przeciwko mnie — protestował Lermón. — Mogą mi się inne dziewczyny podobać, a ją jedną tylko naprawdę kocham.

— To niemożliwe, to zupełnie niemożliwe — zaklinał się Postrach z całym przekonaniem.

Sęp jednak był bardziej ustępliwy i dla dobicia targu cofnął ten warunek, przypomniał jednak w imię honoru,

że umowa ma być tajemnicą, i że nie wolno się im Betti narzucać: mają pozostawić jej zupełną swobodę.

Rywale podali sobie ręce i wymienili słowa honoru, śledząc badawczo swe twarze, jakby z nich wyczytać chcieli rezultat walki.

— Ten się ma sam wycofać, który pierwszy zrozumie, że nie potrafi jej tak kochać, jak przeciwnik, i nie potrafi wzbudzić takiej miłości — recytował Sęp, jakby z książki czytał.

— Zgoda... zobaczymy! — potrząsnął Lermom głosem, ufny w magnetyzm swej urody i dawną sympatię Betti.

— Pamiętaj — zwrócił się do Postracha — że nie wolno jej zmuszać do rozmowy!

— Zgoda! — uśmiechnął się Postrach prawie życzliwie, bo wolał narażać się na kule niemieckie, niż strzelać do rodaka, choćby najbardziej znienawidzonego.

Poszli w powrotną drogę, rozglądając się ostrożnie wśród drzew, tułających się w zmroku.

* * *

Deszcz z małemi przerwami padał już od kilku dni. Po niebie uganiały się kosmate chmury jak bawoły. Biegały naoslep, pieniały się, ryły kopytami ciemne brzozy i, spychane przez wiatr, tłoczyły się nad horyzontem.

Zwolna, jednak, tabuny chmur, pękające w galopie, zwolna, olbrzymie, czarne mapy nieznanych lądów

poczęły zalewać całą powierzchnię nieba i rozchodzić się jak dymy fabryczne. Ulewa przeszła w monotonny płacz przenikający, nasycający wszystko. Niebo stało się wielką, siną Syberją. Lasy na horyzoncie nakryła srebrna mgła. Pola milczały jak wypłakane oczy staruszki, a drzewa, zgarbione nad miedzami, cierpliwie czekały lepszej doli. Tylko drogi huczały radośnie jak na weselisku, huczały, pławiąc się w zdrowej, jędrnej kąpieli.

Deszcz rzępolił...przenikliwy deszcz... deszcz od kilku dni.

Wiara pokryła się w cegielni. Wystawiano tylko placówki. Komu tam w głowie wojna na taki deszcz!

Całe noce strzelały patrole „Panu Bogu w okno“. Może choć te chmurzyska przekłęte roztrąca.

Kadeci, pod wytrawnem przewodnictwem Skrzetuskiego, chrapali w zagrodzie, upamiętnionej nocną walką.

Czuwały tylko warty.

Postrach oparty o drzewo wpatrywał się właśnie w nieprzenikniony zmrok deszczowej nocy, wcielał się w monotonny jęk-chlupot spadających kropli.

Po twarzy, po plecach, po biodrach spływały mu strumyki deszczu.

— Najgorsze minęło — myślał. Teraz, gdy zupełnie przemokłem, mogę stać choćby do rana.

Nagle posłyszał trzask łamanej gałązki. Nasrożył się.

— Kto tam? Hasło! — wydobył z zachrypniętego gardła.

— Brzoza! To ja, Sęp.

— Co tu robisz, Zbych?

— Niosę ci koc i gumiankę Wołodyjowskiego.

— Nie chcę — sam przecież stoisz teraz przy maszynie.

— Wyfasowałem drugą. Zostawił tobolek i uciekł.

Postrach zrzucił mokrą odzież, okręcił się kocem poniżej ramion, wdział płaszcz i dalej czuwał. W razie niebezpieczeństwa wystarczyło wypuścić koc z pod pachy, aby odzyskać zupełną swobodę ruchów. Przytem było ciepło, a przedewszystkiem: sucho.

Nie upłynęło pół godziny, gdy nowy szelest.

— Kto tam?

— Betti mnie przesyła... — brzmiał chłopięcy głos.

— Czego chcesz, Antek?

— To dla nich gorące mleko — zawołał, stawiając przed powstańcem butlę pełną białego ukropu.

Postrach spróbował dwa łyki, oblizał się, znów dwa łyki. Byłby wybulgotał wszystko, ale na widok zmoczonego chłopca jakaś myśl go wstrzymała.

— Ja już piłem — rzekł. — Idź, zanieś tę butlę Sępowi: on stoi tam, przy maszynie.

A nie zapomnij podziękować Betce!

Był zadowolony z siebie, jakby wypił nie jedną, ale dwie butelki wrzącego mleka.

Gdy po skończonej warcie wracał na odpoczynek, Sęp siedział jeszcze przy maszynie.

— Gdzie ta druga gumianka — spytał go Postrach, widząc, że strugi wody ciekną po przyjacielu, jak po łące w czasie roztopów.

— Ja lubię deszcz — bąknął, nie mogąc powstrzymać szczekania zębami.

Pocałowali się serdecznie. Właśnie przychodził Skrzetuski, aby zmienić Sępa przy maszynie.

— Psiakrew, czas!

— Najgorsze pierwsze pół godziny. Jak przemokniesz docna, będziesz mógł stać do obiadu — pocieszał go Postrach, który płaszcz gumowy musiał zwrócić Wołodyjowskiemu.

— Żarty wam w głowie, boście swoje odwalili — burczał Skrzetuski gniewnie i poziewał, aż mu gardło wychodziło nawierzch.

— Jak chcesz, to cię zastąpię — podchwycił Sęp. — I tak już przemokłem.

— No fajn, masz tu butelkę wódki na rozgrzewkę i łokieć kielbasiny, bo mnie głowa boli... Wiesz? — Przez całą noc nie zmrużyłem oka... — błagował bez zająknienia.

Ale Postrach nie zezwolił na „żadne macherki“.

— Każdy ma odstać swoje i szlus!

Właśnie kompanijny obchodził placówki. Nie zważał na postrzał ręki i mimo rady lekarza nie chciał opuszczać swego oddziału.

— Nim zaś powróca z lazareta, wojna już może się skończyć — rzekł ponoć lekarzowi. — Kiebychmy zwyciężyli, nie mógłbyh tego wydziwoć, kieby zaś miało być inaczej, wola zginać od pruskiego patrona, niż od własnygo.

Widząc nadchodzącego dowódcę, Skrzetuski pożegnał się z kolegami i rzekł im na odchodne:

— Niema jak warta na deszczu! To fajny sport, no i służba dla Ojczyzny!

— Ciś tam — zgromił go Precz, który aż zgrzytał z gniewu, gdy wymawiano przy nim takie słowa jak: Ojczyzna, Bohaterswo lub Poświęcenie...

* * *

Zagłoba od niedzielnej zabawy nie przestawał myśleć o dorobieniu się na wojnie. Kadeci, dzięki jego szynkarskim zabiegom, zarobili po kilkadziesiąt marek niemieckich. A co on zarobił? — ho, ho — może i sam Pan Bóg nie wiedział dokładnie, tak się z nimi ukrywał.

Zagłoba zaprzyjaźnił się niewiadomo kiedy z Mundkiem Rygłem, rudym jak on, pierwszym kuchcikiem kompanji. Narady ich wspólne trwały po całych dniach. Mundek jak zły duch nie opuszczał Zagłoby, chyba na czas wydawania obiadu. Po służbie znów wracał, niosąc pod pachą to puszki konserwów, to kostki buljonu, bo nie miał zwyczaju przychodzić z pustemi rękoma. Dlatego to był tak mile widziany i przez innych powstańców.

A jak zaczął gadać! Ust nie mógł domknąć, tak pełno w nich miał dziwów do opowiedzenia.

Ileż to on bogactw przywiózł z jakiegoś „południowego“ frontu! Wyobraźnia jego w miarę opowiadań zapalała się coraz silniej:

Trzy Rubensy w jednym zamku. — Rozumiecie? —
Trzy Rubensy po dziesięć tysięcy każdy!

Zagłoba uszy wyciągał, mrużył białe rzęsy, coś obliczał palcami w potężnym nosie i kiwał rudą głową, pełną marzeń o bogactwie...

Szeptali, zmawiali się, aż z braku Rubensów postanowili którejs nocy wyruszyć po piorunochron.

— Na samym czubku jest kilogram platyny — tłumaczył Rygiel, mlaskając językiem. — Mówił mi o tem Sęp, a choć on lubi żarty, wiem, że tego żartem nie mówił. Jak pojedziemy na urlop, będziemy rozdawali pieniądze wszystkim znajomym pannom.

— Zwarjowałeś, czy co? — oburzył się Zagłoba — a za co sklep założymy w Sosnowcu — co?

* * *

Dni płynęły nadal przeraźliwie monotonne, mokre, zaspane, jak liście jesienne po płytkiej, mętnej rzece.

Rano wywiad w lasach, potem śniadanie u Betti, w południe obiad z kuchni polowej, gadu-gadu i sześćdziesiąt sześć, wieczorem rozdawanie amunicji, przegląd kompanji, herbata, nocne placówki.

Śniadanie u Betti było codzienną uroczystością powstańców. Tylko Betti z całego Wachowa umiała tak smacznie przyrządzać jajecznicę ze szczypior-kiem; inne gosposie smażyły z jajek gęste mazie, które trzeba było kawałami przełykać.

— Bohun ma służbę, ale gdzie Wołodyjowski? — spytał Pokłos siedzących przy stole.

— Obkuwa historję, idjota — oburzył się Skrzetuski, który do „Okularnika“ widocznie miał pretensję za dwóję z wojen krzyżowych.

— Lepiej coś czytać, niż chrapać dniami i nocami — bronił Sęp nieobecnego towarzysza.

— Tu można się wyspać, można się najeść — wydrzeźniał się Skrzetuski, palcami rachując krosty na twarzy. — Ganiają człowieka jak psa: to jakieś patrolki zakazane, to warty, niewiem już, co wymyślą. Brud, głód, chłód i zdarty but.

— Zapomniałeś dodać: wrzód — rozgniewał się Postrach, patrząc na ruchy rąk wiecznie niezadowolonego kolegi.

Mówiono, że to z nadmiaru kielbasy — wszystko jedno zresztą skąd — dość, że Skrzetuskiego zasypały krosty. Jego twarz szersza niż dłuższa, zyz i odstające uszy miały w sobie tylko resztki dawnej, dobrodusznej rubaszości. To „coś“ z organisty-pijaczyny czy z bohaterów „Monachomachji“ zgasło już w tępych załamaniach fizjognomji Skrzetuskiego. Rzadkie, jasne baczki, któremi napróżno chciał rywalizować ze Szwoleżerem, uwypuklały nieco jego płaską, niewyraźną twarz.

Zagłoba wystawiał olbrzymie paluchy i zdawał się obliczać na nich wartość wszystkich przedmiotów, znajdujących się w tej izbie; wołał on siedzieć cicho i rozmyślać nad tem, co posłyszał od „Rubensa“ (jak powstańczykowie zdążyli już przemianować Rygla).

— O, Lermom idzie tuka! — krzyknęła cicho Betti, stawiając na stole półmisek jajeczniczy; woń chlusnęła

na całą izbę i rozsiadła się w gościnie rozwartych nozdrzach powstańczyków.

Skrzetuski wziął się do wydzielania porcyj i bąknął, jakby do siebie:

— Ciekawym, gdzie to djabły po nocy nosiły Szwoleżera?

— Kandy? — zawołała Betti z oburzeniem. — Ciniem we wsi gadają, iż Reno Bandurek nocuje se we stodole postańczyka, kiery się z nią po pierzach kopie.

Oczy jej rzuciły się z wymówką na Postracha, ale, ugłaskane jego dobrem spojrzeniem, wróciły znów pod powieki.

Wszedł Lermón z dostojną, niewyspaną miną. Pozdrowił kolegów półgębkiem, skłonił się gosposi i przeciągnął się niby odniechcenia. Był naprawdę ładny. Równy, jak tasiemka, przedziałek, zdawał się całą jego urodę zawierać, streszczać w sobie. Baczki podkreślały białosc policzków. Gdyby nie te baczki, wziętoby go za kobietę w przebraniu. Oczy wielkie, czarne, podsinione niewyspaniem, zrobiłyby furorę nawet wśród gwiazd ekranu. Twarz ta jednak, choć tak piękna w fotograficznym bezruchu, gdy się ożywiała, gdy łamała linje, czar pękał jak bańka mydlana. Dlaczego? — nie wiedzieć, podobnie, jak niewiedzieć naprzykład, dlaczego mówienie napełniało twarz Postracha jakimś światłem, jakby słowa włączały kontakt do źródła jego elektrycznych emanacyj.

Skrzetuski był podniecony.

— Nie dostaniesz jajecznicy, aż sobie łapy wyszorujesz — parsknął, wpychając do ust dymiącą łyżkę, pełną gniewu i jajecznicy.

— Daj mu zaś, niech se ta poje — broniła Betti przybysza, któremu już przebaczyła dawne przewiny. Przebaczyła, bo dostrzegła w nim dziwną poprawę: przemawiał do niej skąpo i z godnością, a gdy się w nią zapatrywał, to inaczej niż dotąd, bo z jakimś smutnym niepokojem, prawie z lękiem. Wzrok miał ciężki: niby nagrзany słowami, które się w nim paliły.

Wola gosposi była dla Skrzetuskiego rozkazem. Wydzielił Lermonowi uczciwą porcję, ale nie mógł powstrzymać się od przyłatki:

— Dawniej sam mówił, że szwoleżerowie nawet podczas szturmów czyszczą paznokcie, a teraz łap nie myje, gdy siada do stołu... szwoleżer z pod Somo-Sierry... — Mówiąc to, wyciągnął łyżkę przed siebie, aby wszyscy mogli oglądać jego palce ze starannie pogryzanymi paznokciami.

Ale Lermon nie myślał się gniewać. Przeciwnie, chciał, żeby objawiano zazdrość w jaki bądź sposób, to też sprostował tylko z godnością:

Miałem na myśli Wieniawę, bo sam to widziałem na własne oczy, jak przy szturmie końcem szabli czyścił sobie paznokcie.

Właśnie szykował się opowiedzieć kilka szczegółów z tego szturm, gdy wpadł zadyszany Wołodyjowski i zwrócił na siebie uwagę kolegów.

— Wykuł się kujon — sarknął Zagłoba, który wo-

góle czuł wstręt do historii. Przecież to „Grubas“ od historii kazał mu przez tydzień stawać do raportu z nocną szafką. Sypialnia była na parterze, raport odbywał się na drugim piętrze — a szafka była wielka, ciężka i rzeczy musiały być w niej poukładane przepisowo za każdym razem. Stąd taka nienawiść do wszystkiego, co ma z historią jakąś wspólnotę.

Wołodyjowski zaczerwienił się jak panienka, ale nie odrzekł nic.

Przez kilka minut mlaskano, tetłano, polykano. Wielki bochen chleba, zajmujący pół stołu, znikał w ustach i kieszeniach powstańczyków. Kawa z mlekiem zakończyła ucztę.

Stara Zaborzyna jak zwykle modliła się przy łóżku.

Betti usiadła między Sępem a Postrachem. Szeptali ze sobą o wielu, wielu rzeczach: o niczem, które dla nich było wszystkim. Sęp opowiadał o chacie rodzinnej daleko stąd, a tak opowiadał — aby, broń Boże, nie wygadać się, że chatą jego był wielki, bogaty dwór. Teraz, gdy lepiej poznał wieśniaków, wstydził się „dworskiego“ urodzenia i zazdrościł kmieciom ich cichego, pracowitego życia.

Postrach układał na głos plany swej przyszłości... Było w nich wiele podróży i wiele pracy, ale ani na chwilę nie zapomniał o Betti i o Zbychu. Byli, podróżowali z nim wszędzie. Jej okrągła, poważna buzia, jej oczy szaro-fioletowe, niczem świeżo uszczknięte jagody, jej spojrzenia przezroczyste i szklące, jakby łez pełne — wreszcie jej dojrzałe, kasztanowe warkocze nie opuszczały go nawet we śnie. A cóż mówić o ru-

mieńcach żywych i ruchomych, o łydkach smagłych, cygańskich — wyżej nieco białych jak łabędzi puch...

Zagłoba i Skrzetuski klócili się o resztę jajecznicy, aż Zagłoba, obdarowany papierosem, ustąpił.

Wołodyjowski był zamyślony i czekał okazji, aby móc coś rzec do Postracha. Oczyma, mimiką dawał znać, że chce coś powiedzieć, ale nikt na niego nie zważał. Wreszcie, zebrał się na odwagę i pochwycił Lermona za rękaw:

— Nie wiesz dla... dlaczego Kazimierza Trzeciego na... na... nazwano Wielkim?

— A Grunwald to co — Za darmo pobił tych sztostruplerów — Krzyżaków?

— Ja mó... mówię o sy... synu Łokietka, co odstąpił Krzy... Krzyżakom Pomorze, Cze... Czechom Śląsk i ży... ży... żydów sprowadził do Polski.

— Ktoby to chciał o wszystkim pamiętać — machnął niechętnie ręką — zresztą spytaj o to Postracha, ja wiem tylko, że bitwa pod Grunwaldem była 15 lipca 1410 roku — popisywał się — ale widzisz, mam teraz ważniejsze rzeczy do myślenia. — Podniósł się i podszedł do okna z papierosem w zębach. Pragnął, aby na niego zwrócono uwagę: — wszystko na próżno. „Zakochana trójka“ była roztopiona w szeptach i myśleniach. Uchem więc tylko i smutnem milczeniem mógł Lermon brać udział w rozmowie.

Tak się ci we troje przywiązali do siebie, że gdy przedwczoraj wieść poszła o bliskim odmarszu kompanji z Wachowa, nie mogli ukryć szczerzego żalu. Nic więc dziwnego, że śniadanie, na którem zwykle tłu-

czono garnki powstańczych dowcipów, dzisiaj prze-
minęło tak ciężko, klótniwie, pożegnalnie.

Już cały kwadrans, milcząc, przypatrywali się so-
bie. Betti z głową opartą na piersiach Postracha, Sęp
naprzeciw nich. Bez Sępa byłoby im źle: milczenie
stałoby się lepką pajęczyną, która w lesie napada sa-
motnie idących, słowa spływałyby zwolna, jak łzy z po-
liczków, a spojrzenia byłyby rozpaczliwe, jak lot nie-
toperza zabłąkanego w izbie. Postrach był dla Sępa
więcej niż bratem, Betti — więcej niż siostrą. Kochał
się w ich miłości, miłość ta była jego najwyższem
szczęściem, najwyższą dumą.

Lermon widział to i serce w nim ropiało, serce nie-
znające dotąd cierpień i zawodów. Myślał, że się po-
cieszy zwycięstwem nad Reną Bandurek. Zwycięstwo
przyszło zbyt łatwo: stąd żał tylko nowy do Betti i mi-
łość coraz cięższa, coraz uroczystsza. Dawne jej
słowa, któremi dotąd karcił się i oddychał — poczęły
go zastanawiać, potem niepokoić, wreszcie — gnębić.
Zabrakło mu sił, aby podejść do niej z prośbą o roz-
strzygające „tak lub nie“, wołał żyć okruchami
dawnej złudy. Aż znalazł swe eureka: upijał się cuch-
nącą wódką i miłością pierwszą z brzegu!

Tylko Bohun był uradowany był zastrzeżeń z bli-
skości odpoczynku. Uzyskał nawet od kompanijnego
przrzeczenie, że będzie mógł udać się do Lublińca. To
też chodził po lesie i gwizdał „Jak we śnie“. Zauważy-
no też, że pożyczył od Lermona lusterko, a co dziw-
niejsze,—nie narażał się już na strzały bez potrzeby, jak
to miał we zwyczaju. Nie jeździł naprzykład rowerem

po szosie, gdy ta kurzyła się od wystrzałów, ale przechodził rowem jak wszyscy.

* * *

Przed samem odejściem z frontu zdarzył się niemiły wypadek. Zagłoba pokłócił się z Rubensem i obaj równocześnie postanowili oddać spór pod sąd koleżeński. A wszystko to z niewinnego żartu Sępa na temat piorunochronu.

Oto pewnej nocy wybrali się nieodstępni przyjaciele do dworu w Wysokiej po kilogram platyny z piorunochronu. Niestety, na czubku platyny nie znaleźli. Rubens wytłumaczył towarzyszowi, że albo już ktoś platynę odłamał, albo też jest to ersatz-piorunochron.

Aby powetować „stratę“, zaproponował przeprowadzenie w chatach rewizyj broni. W kilku porządniejszych mieszkaniach znaleźli magazyny karabinowe. Mundeck, oczywiście, aresztował gospodarzy, ale godził się na zwolnienie za okupem.

Wyznawał to wszystko przed sądem koleżeńskim Zagłoba, kiwając wysoką głową z przylepionym, frenkowskim nosem.

Sędziowie, t. j. Postrach i Bohun, robili zdziwione, a potem przerażone miny.

— Obaście winni — psie łby! — zaklął Bohun, udając gesty i ostry głos kompanijnego.

— Tak — poparł go Postrach — obaj odpowiecie za przekupstwo i za niedoniesienie władzy o przechowywaniu przez cywilną ludność amunicji. Powiedźcie tylko, kto tu właściwie kogo oskarża i o co, jeśli obaj zawiniliście.

— Ja skarżę! — wpadł Rubens w chwilę namysłu Zagłoby — ja skarżę, że on mnie w twarz przy cywilach uderzył i jeszcze nie chce mi oddać za dwie talje kart.

Zagłoba porwał się ze stolka, na którym siedział, i chwycił przeciwnika w olbrzymie, obrośnięte łapy. Z trudem udało się sędziom i świadkom oderwać od siebie walczących.

— To ja go oskarżam! — wołał Zagłoba, ciężko dysząc zaślinionemi wargami, oskarżam go, bo to on sam podrzucał kule, a kiedy mu za to dałem w pysk, powiedział, że to „wszystko jedno“, skąd są kule, żeby na urlop mógł jechać z pełną kabzą. To jest złodziej! Ja go oskarżam!

Wyrok zapadł szybko. Rygla, który nie posiadał żadnych papierów, odstawiono do Lublińca dla wylegitymowania się w Sądzie. Zagłoba otrzymał trzy kocy i musiał nazajutrz obejść wraz z kolegami chaty, w których „przeprowadzał rewizje“ i zwracał w podwójnej sumie wyłudzone pieniądze.

Od tego czasu Zagłoba był radykalnie uleczony z myśli o zbyt szybkim zbogaceniu się na wojnie, a Mundeck Rygiel — jak się okazało później: Kigiel — zamieszkał w więzieniu.

* * *

Pewnej nocy nadszedł oczekiwany bataljon. Dwustu dziesięciu powstańców miało zluzować sześćdziesięciu „djabłów“, zmęczonych ciągłym czuwaniem i walką.

Byli to żołnierze nowi i niedoświadczeni. Leżeli w okopach jak kamienie: nie śmieli nawet głowy wysunąć ponad szaniec. Dopiero rano, gdy kompanja Precza przemaszerowała szosą i huknęła na całe gardło „Jasne słonko“ — otucha weszła w ich serca. Wyleźli z okopów na szosę i patrzyli na garstkę niedobitków, która przez tyle tygodni uparcie szamotała się o kawałek drogi...

Mają sześć maszynwerów — kiwał do siebie głową Precz — ale żołnierze z pietra ledwo się na giczelach trzymią.

W Wysokiej odbyła się „poświęcka sztandaru“.

Cały Wachów niezajęty przez Niemców był w koście. Betti była również. Po mszy św. Precz przemówił krótko:

— Postaćcie! — trzymaliście się durch, a zaś nie deliście sie wyciepić orgeszom za szoseją. Mocie zaś terozki sztery dni fraj, potem zaś — na linja! Ciesza sia, iże mom takich gryfnych żołmierzów!

Przemówienie to, chociaż nie szumne, nie porywające, może szorstkie nawet... ale kto słyszał głos wodza, kto widział rękę jego na temblaku, kto widział straszną twarz, blizną jak sznurkiem przewiazaną i chore oczy pełne krwawej gorączki — płakał.

Starzy połykali tylko ślinę zmieszaną ze łzami, zato dziewczyny buczały głośno za powstańcami, za powstańczykami...

Odeszli.

Zdaleka jeszcze maszerowały echa piosenek, ni to skocznych, ni to smutnych — ot, jak ta wojacka dola.

IV.

BOHUN.

Błękit wyciągnął ręce, zakrwawione świtem, ale na próżno chciał ziemię pochwycić, obramienić i, jak niegdyś, przycisnąć do siebie.

Chłodem od niej ciągnęło. W szarym, robotniczym fartuchu ziemia szlochała rosą. Szlochała, że co noc jest taka samotna wśród zmroków, że słuchać musi obleśnych serenad księżycy i zazdrościć słońcu, które tam... gdzieś... gdzieś właśnie igra z błękitem...

Na horyzoncie piętrzą się warstwy... złoża kolorowych szkieł: przekrój kopalni złota z wyobraźni dziecka!

Wyżej, po oceanie pastelów frunie czarny żaglowiec. Wiatry pocałunkami wyrzeźbiły mu piersi. Oto wpłynął na fale Czerwonego Nilu — dążył ku światłu — gdy nagle maszty przerosły mu w skrzydła i czarny anioł zawisł nad horyzontem. Profil jego napęczał, zapalił się blaskiem, z nad głowy trysnął reflektor złotych włosów i słońce, drżące, wschodzące słońce podniosło go na swej zwycięskiej, maratońskiej tarczy.

Drzewa posiwiałe od nocnego chłodu na ten widok dostają gorączki. Pola idą naprzelaj po światło i zgar-

nią do rozwartych kłosów jego drogocenne okruszyny.

Już dawno ptaki — skrzydlate grudki ziemi — pożegnały milczącą noc. Niebo chwiało się od ich szczebiotu, a słońce wystraszone wspinało się po drabinie chmur coraz wyżej... wyżej.

Rozłupki szkielec na polach — zwierciadłotka — igrały z blaskiem w ciuciubabkę.

Dalekie miasto migotało od połysków szyb, jakby przy otwieraniu okien rzucano na ulicę snopki dojrzałego żyta. Wieże kościołów modliły się zadąsane i nie chciały przed słońcem uklęknąć. Przezroczysty, szklany Lubliniec przecierał zdziwione oczy białymi chusteczkami obłoków. Teraz, gdy opustoszał z woj-ska, gdy nawet dzieci pomaszerowały na front — stało się tu cicho, szpitalnie. Oj, szpitalnie, doprawdy, bo zwożono tu rannych i zabitych z całego północnego odcinka.

Dopiero koło 10-ej zaterkotały wozy na dziedzińcu budynku ojców oblatów. Tu mieściła się poczta polowa.

„Gasthaus Schloss Nudeltopf“ odrzucił okiennice.

Gdy zabrakło gości-powstańców, smutno tu było i ciemno. Truda obarczona myślami siedziała przy oknie. Już od dwóch dni czytała list. Oczywiście, od niego.

Dwaj emerytowani „brieftegerzy“ grali w bilard, kłócąc się zawzięcie o każdego papierosa.

Truda odczytywała może po raz setny zdania, które umiała napamięć. O znaczenie niektórych wyrazów

pytała swej przyjaciółki Marysi, inne rozumiała sercem. A więc przyjedzie, przyjedzie... tę treść miała dla niej każda litera listu.

Nagle odlepiła oczy od papieru i spojrzała w okno.

Jakaś fura jechała z wolna drogą od Pawonkowa. Zerwała się i wybiegła przed dom. Może to już.... nie, znów zabici.

Fura ciągnęła za sobą tłum ludzi. Baby kasłały płaczem. Chłopcy i siwe dziadygi nieśli w sobie bunt i wzrokiem potrzásali jak sękatym kijem. Szczerbaci byli, groźni, zamachliwi, psy!

Fura obok gasthauzu skręciła w prawo, do trupiarni.

Truda miała płacz pod powiekami... Boże! klękało jej serce — jakie to straszne.

Starucha jakaś, zasmarkana szlochem, chwyciła ją za rękę i przyprowadziła do wozu...

— Pójrzy, Germanko — jak twoje wojują!

Nie opierała się. Chciała nawet zobaczyć. Okiełznała jaskółczy niepokój i przez okulary łez patrzała we wnętrzu wozu: wspólną trumnę na kołach. Nie wiedzieć, ile ciał tam było: może sześć, może osiem. Wszystkie tworzyły jedno kłębowisko.

Głowa starca, roztrzaskana obcasami, gapiła się z nad rozprutego brzucha. Czyjeś nogi — wyłamane i napuchnięte sinemi żyłami — chwiały się na drabinie: obrzękłe, kobiece nogi... Gęste kotlety krwi oblepiały ciała napółrozebrane, jakby zamęczone w nocy, zadżgane wśród poduszek i płaczących dzieci. Przez drabinę — nazewnątrz — wysterczały żebra, jak pazury,

i kudły, postrzępione jak podarte strzechy. Na samym wierzchu, na katafalku z ciał, leżał zupełnie nagi, potężny, owłosiony chłop. Twarz mu przysłonili ścierką czy onucą, tak była straszna po śmierci. Na piersiach miał wyrytego orła... Orła białego na wielkiej, czerwonej tarczy.

Fura stała. Obecni mieli maski groźby na twarzach, a w garściach ściskali serca, które chciały krzyczeć. Baby rozkudłane, pazurniastę otoczyły Trudę płaczem, to jakby chciały paść przed nią na kolana, to... jakby chciały rozdrapać.

— Na wóz ją, na wóz! — wrzasnęła jakaś potwora przyczajona, żyłasta jak śmierć.

Strach żabiemi paluchami oblapił Trudę ztyłu. Zabić przez drabinę wyciągnęli ku niej pokrwawione, mózgiem powalane łapy.

Nie, raczej skona! Serce jej biło na rewolucję jak kremłowskie dzwony, myśli jej stawały dęba. Nie czuła żalu do tych ludzi, co ją tu przywiedli, ale wstyd jakiś palący, wstyd nieślubny za tych, którzy uczyli ją nienawiści do tego męczeńskiego ludu.

— Ni, jo je Polka! — zawołała z taką mocną dumą, że wszystkim poodtrącał ręce.

Po raz pierwszy ośmieliła się na to wyznanie, lecz wiedziała, że słów tych jak przysięgi nie cofnie.

— Trupów se ulinknena i Polocką se wydowo — rozległ się pisk bezzębny.

Truda czuła, że serce jej leci w otchłań, na twarzy miała przyklejone oddechy. Kurczowo odpychała zakrwawioną drabinę, ale już resztkami sił. Już... już trą-

ciła przytomność, gdy galopem wjechała jakaś fura i zerwała z szosy prześcieradło kurzu.

Na furze — jak przez gęstą krepę — ujrzała jego.
— Heniek! — wrzasnęła ostatkiem sił i zemdląła.

* * *

Trzy dni im przeszło szybko, jak jedna chwila, jak rok, jak sto lat szczęścia. Niedaleko od Lublińca w małej, wieśniaczej chacie żyli sobą.

Wszystkie myśli dziecinne ze świata „Es war einmal...” i wszystkie dziewczęce sny nieokiełzane znalazły wyjaśnienie pod strzechą pełną gniazd ptasich i ciszy.

Ach, jakże wdzięczną mu jest za te trzy dni, na które czekała tak dawno! Za te trzy noce, które w swej bezsenności radosnej zatopiły całą bezsenność dawniejszą.

Noc rozstania pełna była miłosnego szlochu: całujących łez i płaczących pocałunków.

„Heniek!” — „Truduś...”

Resztką świecy kopciła i gorącemi kroplami płakała na lichtarzu. Do szyby pukał nieśmiało, skulony z zimna, zabłąkany świt.

Ostatnie chwyt, ostatnie dotknięcia ustami, ostatnie poszukiwania ukochanych rąk.

— Znów idziesz na wojnę?... — skarżyła się po niemiecku.

— Wojna nie taka straszna — uspokajał Bohun.

— Nie daj się tylko Niemcom chwycić, Heniuś — zaklinała z obawą w błękitnych oczach.

— Nie bój się...

— Ja ich znam. Ja nie chciałem ci mówić. W Beuthen w cegielni rzucili dwóch Polaków do pieca. Mój braciszek Johann widział to i opowiadał przy stole, a ojciec — tu oczy jej rozpułyły się w płaczu — tak, mój ojciec śmiał się i mówił, że i tak mieli iść do piekła... Wybyście nie mogli rzucić człowieka do pieca, prawda, Heniuś? Ale powiedz mi prawdę!...

— Nie, — nigdy!

Zajrzała przez łzy w jego głębokie oczy i spuściła zawstydzone czoło.

— A wiesz dlaczego? — spytał Heniek przejęty rozmową — powiem ci: my jesteśmy na własnej ziemi, a któżby chciał u siebie w domu rządzić ogniem i mieczem? Ale oni — oni są w kraju zdobytym i chcą go utrzymać: nas wymordować, aby unieszkodliwić raz na zawsze.

Nie unosił się już... nie poetyzował.

— Ja wiem, ja długo myślałam. Zresztą wiesz dobrze, że przy furze trupów przysięgałam. Myślę jak wy, jestem jak wy — jestem Polka!

Pocałował ją w czoło a potem twarz całą zalał swym oddechem. Wargi ich, ramiona rozwierały się do ostatniego pożegnania i pękały w ostatnim uścisku.

* * *

Kompanja Djabła po czterodniowym odpoczynku stanęła w Osieczku: niedużej, schludnej wsi, leżącej na stoku wzgórza. Wokoło niej ciągnęły się łąki. Tylko z północy podchodził do Osieczka gęsty Zębowski las,

Szosa, przecinająca wieś, na zachód wiodła do Pruszkowa, na wschód doprowadzała do znanej szosy, łączącej Oleśno z Dobrodziniem.

Przez Zębowski las wiodły trawiaste drogi do wielkiej, polskiej wsi — centrum operacyjnego sił niemieckich — Leśnej.

Oddział powstańców zajął leśniczówkę, położoną na skraju Osieczka. Mieszkańcy tej wsi, przez dłuższy czas terroryzowani bagnetami oddziałów Hersinga, obawiali się oficjalnie wyjawiać swych uczuć powstańczych, ale gorące przyjęcie na kwaterach i łyż błogosławieństwa mówiły więcej niż słowa.

Nie można było się nigdzie dopytać, jaki był we wsi wynik plebiscytu. Zapytani kiwali głowami, opuszczali ręce bezradnie i z tępą, pomarszczoną rezygnacją spoglądali przed siebie.

Na płotach, na stodołach — ba, na ustępach nawet — wisiały jak ohydne, zaropiałe łachmany, niemieckie afisze agitacyjne.

„Górnoślązacy, Polska potrzebuje żołnierzy na wojnę z Rosją, Ukrainą i Litwą! Idźcie tam na mięso armatom!”

„Niemcy to cywilizacja, bogactwo i spokój. W czasie wojny światowej, gdy w gruzy padały wsi i miasta, naród niemiecki zasłonił Was swojemi piersiami. Z nim na wieki będziecie szczęśliwi!”

„W Polsce jest pańszczyzna: szlachta i żydzi chłopów biją batem. Tam jest głód, nędza, wojna i ciemnota. Tam chcą od Was chleba, węgla, żołnierzy.”

„Tu — każda wasza marka warta jest dziesięć marek polskich, tu — za rok wprowadzą nowe prawa agrarne: każdy dostanie ziemi, ile zaorać zdoła. Tu — My jesteśmy, My: niepodzielna Rzesza Niemiecka od Renu i morza Północnego po Odrę i Wartę. Nigdy nie przebaczymy tym, co przeciw nam głosują!”

„Tam — sami rządzić nie potrafią. Za rok, za dwa lata, po śmierci głównego wodza, Polska upadnie, Was porzuci i wówczas... zrobimy porachunek!”

Czytając to, w głowie się mąciło i z chaosu wynurzał się jeden potężny argument: pięść germańska, ta, która po twarzy biła Bartka Zwycięzcę, która chłostała dzieci we Wrześni, która katowała w Katowicach, masakrowała w Opolu, i ta sama, co tłukła bezczelnie w stół traktatowy wobec całego świata:

„Niemcy wam nie wybaczą!”

I lud, kochający nadewszystko ciszę, tradycję, spokój, lud nastraszony, zakrzyczany, nieświadomy prawdy, głosował — jakże często! — za własną niewolą. To okropne! Tem okropniejsze, że wnuki ich, germanizowane w szkole, w fabryce, w wojsku i w kościele pójdą już może nie z głosem, ale z bagnetem przeciw braciom, jak te miliony hakatystów o polskich nazwiskach.

I oto teraz, gdy lub osiecki ujrzał wchodzących braci-Ślązaków z Matką Bożą na zwycięskim sztandarze i z pieśnią huraganową na ustach... rzewne łyzy, łyzy ukrywane od urodzenia, lecz tkwiące w sercu, kapąły po twarzach rozoranych, zda się nieurodzajnych, a jednak tak żyznych polskością.

W leśniczówce, zajętej przez powstańczyków, mieszkał stary gajowy Niemiec. Przyjął on gości usłużnie, ale z godnością. Na strychu wyjęto kilka dachówek i ustawiono karabin maszynowy. W lesie czuwały placówki.

Gdy nadszedł wieczór, z lasu wyczołgał się zmrok jak pies z przetrąconemi łapami i włókł się do wsi.

Powstańcykowie całą gromadą chodzili między chatami, szastali wzrokiem na lewo i na prawo, aż zaproszeni przez jakiegoś gospodarza, weszli do ogródka pełnego zapachu maciejek i rezedy. Tu, na schodach ganku pili kawę i ust nie mogli domknąć pełnych śmiechu i chleba. Nie śmiał się tylko Skrzetuski i Zagłoba. Pierwszy, bo śpieszył się z jedzeniem, drugi, bo nie śmiał się nigdy.

Gdy noc już rozstawiła swe letnie dekoracje, gdy płatki zmroku przysypały chaty i drzewa — sprowokowani harmonijką Bohuna — zaśpiewali o Jaśku, co poszedł do legjonów.

Nikt ich nie widział w ciemności, więc śpiewali całym głosem, całą dolą i niedolą powstańczego życia.

Tam, na wojnie śświszczą kule...

śświszczą kule,

Trrrkoczą karabiny.

Naśladowali te, co pss...ck... cmokają tuż koło głowy, i te, co chlupią w piach, albo grzęzną w ludzkim ciele, i te, co odbite rykoszetem, miauczą wśród drzew, jak za-

błąkane dzieci. Niewiadomo, kto zwołał ten wiec. Niewiadomo, kto kazał tym głupim chłopom, co głosy oddali za Niemcami, zejść się tu z całej wsi, kto kazał tym dziewczynom szlochać tak w ciemnościach.

A wichura za oknami przeraźliwie wyje.

Duma Zośka o swym Janku, czy on jeszcze żyje...

I wichrem biło od tego śpiewu. Wichrem zapalał, który ich owionął. A potem dalekie rodziny stanęły im w pamięci: matki, które się modlą ich powrotu.

Dopiero gdy skończyli piosenkę, usłyszeli sapanie płaczu w ciemnościach. A nie był to zwykły płacz kobiecy, ale płacz wsi polskiej, kłóanej wstydem apostazji — nie, nie wiercie! — wstydem zaparcia się w obliczu przemocy.

Niebo nad lasem wyjaśniało. To księżyc wdrapał się na najwyższe drzewo; siedział między gałęziami i szczekał do chmur.

Zdaleka dochodziły jakby szumy górskiego strumienia, jakby trzaski płonącego ogniska, jakby turkoty wozów, pędzących po kamieniach.

Mówiono sobie pocichu, że nowy „bataljon studentów“ przerwał front pod Wachowem i zajął Wysoką.

Gdy takie szepty dociekły do uszu Sępa i Postracha — zalały je jak gorąca smoła. Chcieli sprawdzić te wiadomości. Kompanijny wiedział może o wszystkim, bo nie był ciekawy nowin i zabronił wywiadu.

Dopiero, gdy przyrzekli, że wyruszą po odbyciu służby, a powrócą nad ranem — pozwolił.

— Nareszcie dowiemy się prawdy — szeptali uradowani, jakby uwierzyć nie chcieli w straszne wieści.

— Dokąd to? — pytali ich koledzy.

— Na jajecznicę do Betti — śmiał się Sęp białymi zębami...

— A nie zapomnijcie o jajkowych granatach, abyście i wy mogli robić jajecznicę — radził im Bohun.

Wzięli do chlebaków po kilka granatów, wzięli po 150 ładunków i ruszyli w drogę.

Lermon wiedział, że idą — dali mu nawet znak ręką, aby szedł z nimi — ale nie poszedł. A przecież kochał Betti. Kochał zmysłami wzburzonemi sprzeciwem, na który nie były przygotowane, i kochał jakoś inaczej jeszcze, sam nie wiedział jak.

Tłumaczył sobie, że powinien iść, narazić dla niej swe życie, pokazać się jej w atmosferze sławy, jak Postrach, jak Bohun, jak Sęp, o których cały Wachów bajki sobie opowiada. Tak, — zostać bohaterem: czuł, że to byłoby łatwiejsze, niż odpychanie męczących zjaw ponocnych: scen nieziszczonej miłości. Ale oto, gdy droga do tego stanęła otworem — nie idzie! Nie dlatego, żeby się śmierci bał jak niegdyś, nie dlatego, żeby wyprawę uważał za niepotrzebne igranie z ogniem, za „głupią zawadyjaczkę“, ale dlatego, że po tylu bezsennych rozmyślaniach dowiedział się, że Betti nie pokocha go już nigdy.

Oto głupi Bartniczek, który niczego się nawet nie domyślał, wypaplał mu — tak, odniechcenia, — że Po-

strach przed odejściem z Wachowa dwie noce spędził u Betti.

Upokorzenie biło Lermona po twarzy. Cały różowy gmach marzeń runął jak Pompea. Fundament do wyzwania Postracha okazał się ze szkła, które już nie Wezuwjust, ale jedno bezmyślne słowo Bartniczka zdruzgotało na żwir, na piasek, na pył. Oto traci prawo do dalszej walki o nią i to traci w chwili, gdy łaknie jej najwięcej.

Zazdrość, od której boli każde włókno serca, brała go na tortury rozmyślań, aż szara, jałowa, beznadziejna, jak piasek pustyni zasypała jego zbłąkane serce.

A szczęśliwi rywale szli oto w noc ciemną.

Trudno było zablądzić, kryjąc się rowem przy szosie. Obeszli zdaleka kolonję Nowowachowską, gdzie posłyszeli rzenie koni i klątwy niemieckie, a po godzinie forsownego marszu dotarli do swych dawnych okopów przy szosie.

Żal ich pochwycił: były puste. Trzaskanina dochodziła od wschodu — gdzieś z pod Wysokiej.

— Na szosie możemy natknąć się na Niemców — zrobił uwagę Sęp.

— To nic. Zaraz księżyc zajdzie. Znamy teren lepiej od nich — odparł Pokłos.

Po drodze do Wysokiej mknęły ciężarowe auta, wozy amunicyjne i podwoły z wojskiem.

Gdyby tak Precz był tu — nabralibyśmy łupu... kółowały ich sępie myśli. Żaden student nie wyszedłby żywcem z Wysokiej.

Miedzą, dobrze sobie znaną, dotarli do zagrody Zaborzynej. Przywarli do płotu. Było dosyć jasno, aby poznać, że z chaty i z obory pozostały zgliszcza.

Zęby i serca same zadzwoniły w ciemności.

— To przez nas... Szwaby przeklęte! — warczał Postrach. — Wejdę do chaty zapytać się. Ty zostań!

Rozejrzał się dokoła i zapukał głośno w okiennice najbliższej chaty. W izbie coś się tłukło, szurgotało, kłęło po niemiecku, aż zapytało: — „wer ist da?“

— Zapalić światło i otwierać — huknął z całej grdyki: to ja, powstaniec śląski!

— Ło Jezu Kryście! — to łoni se burzą do drzwiów?.. W odemkniętej okiennicy ukazała się ze świecą w ręku znajoma staruszka, która poczęła terkotać niczem młynek do kawy.

— Bez caleńką noc tutaj cięgiem przechodziły Miemce. Mówili, iż Warszawa ido brać. Smykajta chyłkiem kandy chceta, bo chałupa mi spalą, a ich zatrachną jak pluskwów.

Postrach językiem układał w ustach pytanie, ale długo nie mógł przemówić, aż krzyknął:

— Cichoj, starko, a co się z Zaborzyną chatą stała — wiesz?

Świeca chwiała jej przerażoną, krogulczą twarzą.

— Mów kłaku! — pogroził zębami.

Nie namysłała się dłużej:

— Kierzy Polakami se wydają, a przają Germanom, wyzdradziły Zaborów, co aufszendicherów chowią a karmią jajami. Skiż tygo, bydzie dwa dni nazod, chatę spalili, a łobie do Leśny wyciepli.

— Ja im pokażę! — Klnę się, pieronie, że zapłacą! — zacisnął Postrach pięść potężną i potrząchnął nią w powietrzu, aż babie świeca z rąk wypadła.

Sęp chwycił go za ramię i pociągnął w bok... Już czas wracać — kłamał, widząc, że towarzysz rozgląda się, aby jakiego Niemca ucapić w ciemności.

Szli środkiem szosy. Niechno im teraz kto drogę zastąpi!...

* * *

Drzewa, pochylone nad drogą, słuchały szmeru rosnącej trawy. Słońce jak parowóz sapało od gorąca.

Cienie wymyte, świeże, podierały każdą sosnę, każdy jałowiec, a wiatr podrażniał i roznamiętniał tylko najwyższe cyple zębowniczych chojarów.

Postrach i Sęp szli przodem. Wszyscy się przekonali, że to najlepsi przodownicy. Żaden kompas, żadna mapa nie była tak pewna, jak oko Postracha i „leśny węch“ Sępa. Wkrótce już byli na skraju lasu. Reszta powstańców zatrzymała się w gęstwinie nawprost jakiejś odosobnionej chaty.

Przewodnicy przemknęli się między krańcowymi pniami lasu a łąkami zboża, które spływało ku wsi szleszczącym wodospadem.

Jakaś kobieta wracała do wsi z pękiem chróstu. Co krok pochylała się ciężko na lewą stronę — widocznie nogę miała krótszą. Wyglądało to, jakby kto wprowadził w ruch lalkę z ciężarkiem wewnątrz.

Pod groźbą karabinów, kazali jej przystanąć. Rzucała chróst i poczęła uciekać, podskakując jak zajęć raniony.

— Matusi, zaczekajcie no... Matusi! — krzyknął za nią Postrach dobrotliwie.

Przystanęła. Z uszu odgarnęła czerwoną chustkę, jakby nasłuchiwała. Twarz wystawiła czarną jak razowy chleb. Do oczu przysunęła daszek dłoni i pomarszczyła się patrzeniem. Spostrzegła kraciaste czapki i wzywające ją ręce. Rozejrzała się, ścisnęła kijaka i pochylona, przyczajona, biegła żytniem kłosowiskiem, podskakując na prawej nodze. Prawie że się przyczółgała do nich z oczami mokremi od wiatru.

— „Matusi!“ — To łoni tako zwołują? — śpieszyła się — tóż swoje łoni som — ni?

Chwyciła Sępa za rękę kurczowo.

— Chodźta za starym kulosem tudotąd — rzekła i zdreptała niżej nieco do jakiegoś dołu, obrośniętego zbożem. Tu byli bezpieczniejsi.

— Karlusy małe — kajście zafurgnemy — szeptała, czesząc kostropatemi palcami napoleońską grzywkę Sępa — nie strachata se wy — o Pon Bócku dej im za-tracenie! — tych sztostrupów pierońskich?

— Karlusy, ale powstańce — szarpnął się Sęp za-dzierżyście — i waszych sztostrupów wymiecom do Vaterlandu.

— Ło, zgreblujta tych kołtunów cygońskich, mychmy za Polską głosy wrzucili — całka wieś — i bez to cisną nos pierońsko.

A po chwili coś jej zagrało w myślach, bo wybuchnęła prośbą:

— Abo nie wrażajta se tukej moje dzieciuchny i ostawta tych okropów germańskich. To miynczyciele są i wojownicy stopierońskie. Ciorajta — jo wos pro-sza — kandy dali i mijta se z Bogim!

Zebrawszy od starej potrzebne wiadomości, chyłkiem wracali do swoich, nie oglądając się za babą, kulawą, obdartą... o twarzy czarnej jak ta noc w niewoli, jak ta ślaska, świeżo zaorana gleba.

Wiedzieli już, że pociski pancerki nie zrobiły Niemcom żadnej szkody. Wiedzieli, że szance wrogów znajdują się między karczmą a młynem. Wiedzieli, że dzie-sięć „maszyn-gwerów“ broni tej pozycji, że w oczekiwaniu szturmie od strony lasu skoszono zboże... Wiedzieli, wreszcie, że oddziały niemieckie zachowują się we wsi tej jak w Reims czy Senlis. Więzienie — główny swój punkt oparcia w podbitym kraju — założyli we młynie, aby szum wody zagłuszał jęki i krzyki ofiar.

Czyż przez to samo Niemcy nie nadali tej ziemi najwyższego dyplomu polskości?

Obszedłszy wieś z dwóch stron, sprawdzili, że zebrane wiadomości o placówkach są prawdziwe, więc powrócili do towarzyszy.

Zastali ich wpatrzonych w samotną chatę na krańcu wsi. Przy chacie, a więc o jakieś sto kroków, odbywała się zbiórka niemieckiej kompanji. Wszyscy żołnierze mieli nowe myśliwskie mundury, długie sznurowane buty, a na głowach granatowe bocmanki. Gdy młodzi powstańcy porównali to umundurowanie z podartymi

buciorami, z koszulkami, pełnemi łąt i zszywań — zrobiło im się smutno.

— Żebyśmy mieli granaty karabinowe, zrobilibyśmy przegląd tej kompanji — szepnął Bohun.

— Moż... Można by i ta... ta... takimi kulkami — zauważył Wołodyjowski.

Czekali powrotu przewodników.

Wkrótce Sęp z Postrachem przemknęli się do gęstwy, w której zostawili towarzyszy. Twarze nowoprzybyłych nie rozchmurzyły się jeszcze po wczorajszej wyprawie do Wachowa, nie pytano ich więc o zdanie, czy strzelać, czy też lepiej nie zdradzać swej obecności.

— Nareszcie ukarzymy tych podpalaczy — cieszył się Postrach.

Skrzetuski napomknął nieśmiało, że każdy raniony musiałby wpaść w ręce niemieckie. Nie słuchano Bartniczka nigdy, więc i teraz nie zważano na to, co gada.

Zagłoba napomknął, jak to Lermom kiedyś wspominał, że szwoleżerowie nigdy nie strzelali znienacka.

Nikt mu nie odpowiadał, bo czuli wszyscy, że przyjdzie im z trudem palec na cynglu zacisnąć. Spojrzano na Postracha. Wyręczył go Bohun, mówiąc, że gotów jest prosić Niemców, aby strzelali pierwsi.

— Jak w bitwie pod... pod... za Ludwika XIV... — nie mógł sobie przypomnieć Wołodyjowski.

— Pod warunkiem, że nie pomordują rannych — uzupełnił Postrach słowa Bohuna, a Lermom, ku zdumieniu wszystkich, dorzucił krótko:

— To nie grzech strzelać do bandytów, którzy na śmierć zasłużyli.

Po tak kategorycznym oświadczeniu samego „Szwoleżera“, nikt nie śmiał więcej protestować.

Rozstawiono się w pewnej odległości, rozdzielono miejsca celu, aby na sygnał Bohuna, któremu wypadło środkowe stanowisko, dać pięć strzałów, poczem załadować nowe magazyny i uchodzić lasem na południe.

Pstt... Gdzieś z pomiędzy drzew odezwało się ciche gwizdnięcie i do uszu, przygotowanych już na huk własnych karabinów, doszedł miarowy odgłos trzaskających gałązek.

Moment napięcia nerwów i zupełnego milczenia...

Oddział niemiecki przeszedł tuż przy krzakach. Jeden z żołnierzy pozostał, aby coś sobie poprawić. Potem i on znikł między kłosaми na drodze, wiodącej do wsi.

Nadeszła chwila odpowiednia. Oficer czytał rozkaz przed frontem kompanji. Czekano tylko hasła Bohuna, ale czy mu zabrakło odwagi, bo opuścił karabin i szepnął:

— Nie dam rady — psia krew...

— Co? — zgrzytnął Postrach.

— Palce mi zesztyniały. Mam strzelać w oficera, a ten się plecami odwraca.

Mówili za głośno, bo kilku Niemców spojrzało w tę stronę, a dwóch wyruszyło sprawdzić podejrzaną szmery.

Gdyby ich odkryto — wiadomo... młyn niedaleko.

Energja — jak przyciśnięta sprężyna — pragnęła rozkurczu.

Padło hasło.

Na pierwszą salwę zakotłowało się w oddziale, po drugiej kompanja rozbiegła się, a po trzeciej powstańcykowie musieli uchodzić, bo kule rwały całemi garściami gałęzie, szarpały korę, huczały i toczyły się jak pioruny w górach.

— Zawsze kilku Szwabów leży — uśmiechnął się Postrach.

— Gdyby nie uwięzienie Betti — szepnął mu Sęp — daję słowo, że radziłbym nie strzelać: zawsze to jak do kaczek.

— Dziś my, jutro... — nie dokończył odpowiedzi, bo gałąź, ścięta kulą, trzasnęło go w głowę... Zatoczył się, ale nic... zaklął tylko.

Zagłoba i Skrzetuski biegli przodem, a widząc, że pościg już nie grozi, poczęli rozpowiadać, jak celowali do podoficerów. Skrzetuski, który strzelał z lewej ręki, rzeczywiście miał wyborne oko. Nie brakło mu też odwagi, choć nikt nie wątpił, że jego pierwszym bodźcem do ucieczki z Korpusu była chęć przyspieszenia wakacyj.

W połowie drogi natknęli się na Precza, który z trzecim plutonem biegł na odgłos wystrzałów.

— Moła szczyńście anilskie, że w was zaś kule nie wtrafią — cieszył się dowódca.

— Bo sztamę trzymamy z „Szwarcie Dajblem“ — odpowiedział mu Bohun wesoło.

W nocy czuwały podwójne warty, noc jednak przeszła spokojnie. Tak samo następna. Łącznicy tylko chodzili do Pruszkowa, gdzie stał oddział miotaczy granatów, i do Wolnych Kadłubów, gdzie biwakowała kawalerja.

* * *

Wieczorem siódmego czerwca powstańcykowie sprosili do leśniczówki podoficerów na piwo, które Zagłoba przywiózł z Dobrodzinia. Ponieważ kupił przy sposobności dwie talje kart — poczęto „obracać żołdem“. Piwo przelewało się z beczki w kufle, a żołd z kieszeni do kieszeni. Zagłoba nie grał, ale za wypożyczenie kart pobierał od wygrywających mały procent.

— Poco mam grać — mówił skąpiec — kiedy i bez ryzyka wygram?

Gracze siedzieli przy niskim stole i karty wyrzucali jak z procy.

— Jutro nas mogą pozabijać — mówił Sęp. — Poco dźwigać te pieniądze w kieszeni?

Zagłoba spoglądał na swój plecak w kącie ciężki i brzuchaty, bo wypchany po sam wierzch. Nie narzekał przecie — gdzie tam, — chętnieby jeszcze co do niego wpakował.

Lampa naftowa w zmroku jątrzyła się żółto. Na stole leżał okrąg jej światła, jak wielki bochen chleba, za nim drugi okrąg większy jeszcze, ale ciemniejszy. Ściany, pod którymi rozrzucono sienniki, czarne były, nieoświetlone, osowiałe. Gęsta mgła papierosów chodziła

po izbie, leniwie pchała się do drzwi wpółotwartych, klębiła się i gotowała po kątach.

Bohun też grał w pokera i to zawzięcie. Trzy razy rozbił bank i stos pięciomarkówek leżał przed nim, jak przed ministrem skarbu.

Skrzetuski spał w ubraniu i drapał się przez sen. Zresztą, od kilku dni drapali się wszyscy. Cóż? — wojna!

Nagle przed leśniczówkę zajechał plutonowy Staniszejtis.

— Boćwina! — krzyknął Zagłoba, wstając od beczki z piwem.

— Czołem, czołem! — odpowiedział kawalerzysta, rozglądając się w zmroku i zaduchu izby.

Przerwano grę — poczęto się witać na oba policzki.

— A tak ja i mówił wam, co się my zdamy na co! — nie? — zaciągał uradowany.

— Bra... brawo ka... kawa... kawalerja! — klaskał w ręce Wołodyjowski, który uchodził w Korpusie za największego przyjaciela Boćwiny. Był jego nauczycielem historii, a uczniem szermierki.

— A ja i z nowiną przyszedł do was.

— Gadaj prędzej! — wtrącił się Postrach.

— Tak nie wiecie wy, cudaki, co zawieszenie broni z Germancami Korfanty podpisał?

— Kto ci to mówił? — pytał Bohun, nie wiedząc, cieszyć się z wiadomości, czy smucić.

— No, ot, pięć minut temu nazad, jak oddał ja Preczowi rozkaz i was chciał po drodze o zdrowie pytać,

— E, Zagłoba, dajże tu kufel piwa — krzyknął Sęp — na co czekasz, widzisz, że koledze chce się pić.

Boćwina pił, aż się cały zapienił, jak koń po wyścigach. Otarł wąsy, które zdążył zapuścić, błysnął pochwą od szabli i dodał:

— Jutro rano ustępujem dziesięć kilometrów, Niemcy także tyle, a neutralny pas zajmą koalicyjne dywizjony.

Pożegnał się, zasalutował i wybiegł, brzęcząc ostrogami.

Przez kilka sekund słychać było jeszcze tętent jego kasztana.

Powrócili do kart wszyscy, prócz Sępa. Ten zgrał się do nitki.

— Zbych, idziesz spać? — spytał go Postrach, wyciągając się na sienniku.

— Ano spłókałem się, ale to nic. Chociaż się wyspię... — Zdjął żołnierskie buty, chlebak z amunicją włożył pod głowę i począł naśladować Skrzetuskiego...

Zwolna ubywało graczy.

Zagłoba siedział jeszcze przy beczce, choć oczy same puchły mu do snu. Motylek płomyka, wbity na szpilkę lampy, trzepotał skrzydełkami w agonji. Z nad schylonych karków graczy wybiegały co pewien czas pojedyncze okrzyki, śmiechy, kłatwy.

Postrach nie mógł zasnąć. Dusznym było, kwaśno od potu, gęsto. Już zdawało się, że wchodzi w obręb snu, gdy jakiś głośniejszy stukot ręką o stół, jakiś śmiech, przypominały mu, że nie śpi.

Lermon powrócił z nocnej przechadzki. Był jak zwykle pijany — docna. Mruczał sam do siebie, że głupie chłopki nie rozumieją, jaki to dla nich zaszczyt romans z paniczem. Przysięgał się, że woli mieć do czynienia z całą pensją w mieście, niż z jedną wiejską dziewczyną. Nawet jej nie zdążył dobrze wpół chwycić, a ta go prask... chamka... i jeszcze mu od pijaków nawymyślała.

Już się wyciągnął na sienniku jak bela — a nie przestał mamrotać i głądzić. Wreszcie ktoś przebudzony i gniewny kazał mu „stulić szwoleżerską jadaczkę“.

Nad ranem dopiero zapadł Postrach w drzemkę, ale na krótko, bo poczuł, że ktoś go targa za rękę.

— Poszoł... Kto to?

— To ja, Sęp... — odparł w ciemności przerażony, pośpieszny głos...

— Co się stało? Czy Betti...? — wykrzyknął przebudzony.

— Nie... nie... miałem tylko sen...

— Idź spać, od samego rana wyślą nas na patrolki — odburknął towarzysz gniewnie.

— Mam do ciebie interes...

Postrach przetarł oczy. W izbie było chłodno. Z sieników podnosiło się chrapanie i przeciągało dziwnie długo, nierówno... Dźwięczne i urozmaicone warjantami intonacje Skrzetuskiego wyróżniały się z tego chóru. Wszyscy spali. Po grze w karty pozostało tylko wspomnienie i zapach nafty, która wyciekła z potłuczonej lampy.

— Ty masz interes? — spytał, odgarniając sen, który nie chciał ustąpić i tańczył mu jeszcze przed oczami jak pijak ze świecą.

— Nie, chciałem cię tylko pożegnać.

— No, na to będzie jeszcze czas przed urlopem.

— Nie, teraz, zaraz!... — prawie krzyknął.

— Zbych, ty coś ukrywasz, mów otwarcie — dopytywał się Postrach, zdziwiony gorączkowym pośpiechem towarzysza.

— Bo... bo... — jąkał się — ja pewnie zginę...

— Co ty wygadujesz? Bój się Boga, Zbychu. Teraz, kiedy już zawieszenie broni — ty zginiesz?

— Właśnie, nigdy nie miałem takiego przeczucia, ale teraz czuję — chwycił przyjaciela kurczowo — czuję, że śmierć nade mną stoi...

— Ty chyba wypileś za dużo piwa, albo masz gorączkę?...

— Nie, Pokłos... Znasz mnie i wiesz, że na wiatr nie mówię — szeptał już zupełnie uspokojony. Czy pamiętasz, jak jechaliśmy na urlop i Zosię wzięliśmy z Częstochowy? Co, — pamiętasz? — dopytywał się natargywie.

— Pamiętam jak dziś — odparł Postrach zanurzony we wspomnieniach.

— A to była radość wtedy, co? Zosia miała taki długi warkocz i była czerwona od śpiewu — cieszył się Sęp jak dziecko.

— Pamiętam... pamiętam — przerwał mu towarzysz — a jaki silny głos miała twoja siostrzyczka! —

Co? Wiesz, powinniśmy i tu, na froncie, śpiewać „Wszystkie rybki“, to ładna piosenka.

— Ładna piosenka — odezwał się echem — ładna, a Zosia jeszcze ładniejsza; gdy ją zobaczysz, poproś, żeby coś zaśpiewała — rozczył się. Słowa jego jak liście kapąły w ciemności, aż nagle sposepniał i wsłuchał się w rechot żabi, który zdawał się naśladować śpiących powstańców, to znów przyzywać kogoś, wołać.

— Ja ci powiem — starał się Postrach przerwać jego myśli — po skończonej wojnie pojedę z tobą do Machnatki i będziemy we troje śpiewać powstańcze piosenki.

— Może i pojedziesz ze mną, ale chyba nie na śpiewanie — przerwał mu tajemniczo. — A zresztą wiesz, poco cię zbudziłem? Znasz mnie jak nikt. Matka moja nie wie tego, co ty wiesz o mnie. Chciałem cię prosić o przysługę: pozwól, niech zrobię przed tobą rachunek sumienia. Będzie to już moja ostatnia spowiedź.

Szepty ich jak paciorki różańca przesuwwały się w palcach nocy. Wypruwali z pamięci jakieś wspomnienia poto tylko, aby siebie samych oskarżać. Powierzali sobie święte tajemnice spowiedzi, których nikt więcej nie usłyszy. Przesączał w siebie myśli, wymieniali testamenty, przełamywali się życiem jak opłatkiem, aż zjednoczyli się i podwoili zarazem. W razie śmierci jednego z nich — jeszcze obaj żyć będą. Długi pocałunek, taki, który może być tylko jeden w życiu, zakończył ich rozmowę.

— Ty śpij jeszcze — rzekł Sęp, głosem już zupełnie innym, przebudzonym, zwykłym — ja będę czuwał.

* * *

Kompanja była gotowa do wymarszu. Auto z koalicijną generalicją przybyło sprawdzić, czy rozkazy dowództwa zostaną wykonane.

Powstańców przeznaczono na straż tylną kompanji. Sęp, Zagłoba i Skrzetuski wyruszyć mieli na ostatni patrol w kierunku Leśnej. Postrach, Bohun i Wołodyjowski nieśli chorążemu Zawiszy rozkaz wycofania się z kompanją granatmiotów do Rendzina.

Droga do Leśnej była niebezpieczna, to też Postrach uprosił Sępa, aby mu pozwolił prowadzić patrol w tę stronę, sam zaś, żeby wyruszył pod komendą Bohuna do Pruszkowa.

— Miałeś zły sen: to wszystko przywidzenie, ale nie narażaj się niepotrzebnie.

Po długich, natarczywych prośbach, Sęp zgodził się wreszcie, i od tej chwili nie rozstawał się już ze swym beztroskim, białozębym śmiechem.

* * *

Szosa w kierunku Pruszkowa szło trzech powstańców. Rozmawiali. Upał był, choć to rano dopiero. Każde stąpienie zdawało się rozgniatać purchase — taki kurz!

Zawisza już począł wycofywać swą kompanję, gdy ostatni patrol przyniósł mu niewyraźną wiadomość, jakoby Niemcy nie usłuchali rozkazu Koalicji, przeciwnie — podsunęli się i biwakują w pobliskim lesie. Było to nie do wiary, więc dowódca wysłał tylko kilkunastu ludzi, jako patrol ubezpieczeniowy i nie przestawał cofać się do Rendzina. Bohun z towarzyszami przyłączył się do patrolu i objął jego moralne kierownictwo. Postanowił przedewszystkiem przeszukać polanę przy szosie, na której, idąc z Osieczka, dostrzegł kilka podejrzanych postaci. Szosa w tem miejscu załamywała się, obejmując w rozwarte ramiona tajemniczą polanę z mizerną kępą drzew pośrodku.

Z drugiej strony szosy ciągnął się gęsty las.

Żołnierze niemieccy nie ukrywali się zbyt: byli widocznie przekonani, że powstańcy już się byli wycofali z Pruszkowa. Wyraźnie — jak na dłoni — widać było gęstą tyraljerę, stojącą w trawie. Dwie liczniejsze grupy wskazywały na miejsca ustawienia „miotaków“. Z tyłu, za linią niecierpliwił się oficer na koniu, jakby w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Nagle, z lasu wynurzyło się auto, obwieszone koalicyjnymi chorągiewkami. Zatrzymało się. Wybiegł z niego oficer w brązowym uniformie i wręczył kawalerzyście arkusz papieru, poczem jednym susem znów był w aucie. Warkot motoru... i tajemnica tej sceny na zawsze utonąła w lesie.

Niemiec przekreślił papier wzrokiem i dał znak do marszu. Tyraljera posuwała się ku szosie. Żołnierze rozmawiali głośno, śmieli się, nawet palili fajki — nie wie-

dząc o tem, że tuż za szosą przyparci, przyrośnięci do drzew oczekują komendy Bohuna — powstańcy.

Jeden przeciągły grzmot przewalił, w pył obrócił powietrze.

Kilku żołnierzy rozskrzydliło ręce, oficer wyprężył się na siodle i runął do tyłu.

Niewszyscy powstańcy zdążyli drugi raz zarepetować i wystrzelić, gdy tyraljera padła na ziemię i z dwóch stron poczęły bulgotać, trzaskać, miotać się wściekle karabiny maszynowe.

Podwładni chorążego Zawiszy nie chcieli słyszeć o dalszej walce bez wyraźnego rozkazu dowódcy, to też lasem wycofali się do Pruszkowa, zabierając dwóch rannych towarzyszy. Kadeci ledwie uprosili ustępujących o pozostawienie im kilkunastu ręcznych granatów i amunicji, postanowili bowiem we trzech bronić szosy do ostatka. Niemcy podsuwali się coraz bliżej, ale rzuty granatów utrzymywały się w pewnej odległości.

Za wszelką cenę chcieli skończyć z obrońcami szosy. Huk walki mógł jak magnes przyciągnąć oddziały powstańcze — a zresztą atakujący byli wystawieni na strzały, gdyż, nie wiedząc, że przyjdzie im staczać walkę, nie wzięli ze sobą łopatek. To też coraz jęklwiej było na polanie, a pociski zdały się wybiegać nie z luf ale z oczu powstańców. Każde spojrzenie — to wybór ofiary.

Aż poderwała się cała linja z ziemi i runęła jednym, ciężkim trójskokiem — naprzód. Obrońcy byli na to przygotowani. Wyskoczyli we trzech na szosę i z wyso-

ka, z zamachem trzasnęli granatami w najbliższy miotak.

Za odważnie się podsunął. Ziemia zakryła go czarnym wachlarzem. Odtąd milczał.

Wypad ten drogo jednak kosztował powstańców. Zaraz po wyrzuceniu granatu Bohun schylił się do połowy.

— Trafili... — zaklął, kryjąc się za szosą.

Chwilę wisiała przerwa w strzelaniu.

— Mo... może... Za... Zawisza nadbiegnie nam... nam z po... pomocą — sapał Wołodyjowski.

— A jeśli jest już daleko?... — zauważył Sęp, ładując najspokojniej nowy magazyn.

— Bohun nie dawał za wygraną: zdarł koszulę i przewiązał się mocno w kroku. Krew spływała mu po owijaczach jasną, lśniącą, wesołą czerwienią.

— Wołodyjowski, biegnij do Osieczka po naszych — szepnął cicho.

— Tak, tak — pewnie Postrach już wrócił z Leśnej — poganiał go Sęp — idź prędzej!

— Sami zo... zostaniecie? — spytał się ponuro, i nie czekając na odpowiedź, biegł rowem przy szosie.

Bohun oparł się o drzewo i jeszcze strzelił raz, drugi, ale czarne okulary przyrosły mu do powiek, a palce, zaciśnięte na karabinie, odprężyło słodkie lenistwo. Zasłabł...

Obudził go krzyk Sępa wśród zawieruchy wystrzałów: „Bohun, cofaj się w las!” Usłuchał. Zagrzebał jakieś papiery pod kamieniem i na rękach — wlokąc za sobą bezwładne giczele — pełzał po wrzosie. Jęczał przy-

tem głośno, aby nie zapaść w sen, który mu zastępował drogę i co krok opajęczał go niemocą. Za nim wlokła się i rozwijała taśma krwi: wielka krecha, przekreślająca czerwonym atramentem mapę dawnej Europy.

Sęp tymczasem zasłonił się drzewem i szosą. Ręką przeliczył granaty i milczał. Spokojnie, z uśmiechem w białych zębach, czekał chwili decydującej.

A Wołodyjowski biegł... biegł.

Wiatr grał mu w uszach, las cały pierzchał w popłochu. Byłe zdążyć, byłe jeszcze zdążyć... Sapał głośno. W piersiach mu obrzękło. Łykał leśne powietrze, kłujące jak igliwo. Potknął się kilkakrotnie, ale biegł jeszcze. Nagle karabin zaplątał mu się w wielkie, wojskowe buciory i chłopiec runął na skraju bagnistej łączki. Chciał zerwać się — znów stracił równowagę. Osunął się nawznak i bezmyślnie patrzył w niebo, ciężko przeżuwać wyczerpanie. O podniesieniu się nie mógł nawet myśleć. Zdawało mu się, że puchnie, że nogi poszły sobie precz, że ręce same dygocą i podskakują w trawie jak rozcięta jaszczurka. Słyszał tylko, że zęby dzwonią, gryząc nagrzane powietrze. Słyszał, a więc uszy nie ustały jeszcze w pracy: szumiały wielkie muszle, jak słupy telegrafu w czasie wichru. Wyraźnie odróżniał w tym chaosie zadyszane tętno czyjegoś biegu.

— Niech przyjdą i zabiją — uśmiechnął się w duszy i przymknął powieki.

Ale to biegli Postrach i Zagłoba, a z tyłu za nimi — Skrzetuski.

— Ty ranny? — spytali leżącego kolegi.

Zerwał się jak ukłuty: — Tam... ta... ta... tam! — wrzasnął rozzwierającym, drewnianym głosem i wskazał kierunek wystrzałów. Chciał pobiec z towarzyszami, ale musiał przysiąść na drodze. Był ranny w nogę. Lekko wprawdzie, ale krwi mu uszło sporo.

Pobiegli sami.

Słyszeli strzały coraz wyraźniejsze. Ujrzeni nawet kurz na szosie.

— Uwaga! — zakomenderował Postrach.

— Hopp — hopp — hurra, hurra, hurra!

Wrzask poskutkował. Zrozumieli Niemcy, że nadbiega pomoc, przestali strzelać i cofnęli się tłumnie do lasu.

Sęp poznał towarzyszy po okrzyku. Uniesiony radosną brawurą, skoczył na szosę i strzałami, jak batem poganiał pierzchających.

Koledzy już nadbiegali, już widzieli jego celujący, nieomylny wzrok, już byli przy nim, gdy bez jęku zwałił się na uśmiechniętą twarz, aż zadudniła ziemia. Nie zdążył go Postrach uchwycić w ramiona. Gdy odwrócił go ku sobie, to poto tylko, by ostatni jego ciepły oddech nie rozlał się na ziemi, lecz pofrunął w niebo.

— Sprawdziło się — jęknął Postrach do kolegów, którzy znosili z szosy ciało niezastąpionego towarzysza, który nikomu w życiu nie sprawił przykrości.

Zagłoba skoczył przez las po furmankę, Skrzetuski wrócił po Wołodyjowskiego, a Postrach nachylił się nad zabitym, pragnąc odczytać z ust półotwartych ostatnią jego myśl... Wargi miał złożone okrągło, jak przy wymawianiu „o“, twarz całą wysuniętą do ostatniego po-

całunku. Zrozumiał: Zbych przed śmiercią pożegnał się z matką.

Postrach zerwał się i rozglądał za Bohunem. Oczy jego natrafiły pod drzewem na sadzawkę krwi. Od niej odpływał strumyk wąziutki w głąb lasu. Przez labirynt drzew i krzewów biegł, prowadzony czerwoną wstęgą Arjadny. Gdzie niegdzie wrzosa obficie kwitły na czerwono: to miejsca omdleń — stacje kalwarji naszego żołnierza.

Wreszcie, na niedużej polanie słońca, ujrzał go.

Leżał pod drzewem z oczami półotwartymi, z nagimi piersiami, pomazanymi krwią i błotem. Dowlókł się do cienia, ale cień, jak czarny ptak, z przerażenia popatrzył wyżej i oto Heniek Czekaliński „smażył się“ na słońcu. Rój much brzęczał, dzwonił, osiadając natrętnie na pokrwawionej koszuli, wpełzając do nosa, do uszu, nawet do ust odemkniętych strasznie milczeniem.

Postrach ukląkł przy towarzyszu.

— To nic, Heniuś, wyleczysz się w szpitalu.

— Nogi mam oderwane, a w brzuchu dziurę — zahuczał, otwierając naościę mętne, pożółkłe spojrzenie.

— Wczoraj koledzy pokryjomu przeznaczyli ci „virtuti militari“, pewnie nie wiesz o tem — szepnął mu Postrach — daj, to ci ranę owiążę.

Zerwał z siebie pół zielonej koszulki, ale gdy rozciął czerwony łachman, okręcający brzuch towarzysza — zadrżał. Z otwartej rany, jak węże, wypłynęły wnętrzności.

Muchy z impetem przysiadły na gorących trzewiach. Heniek nie jęczał.

— Virtuti pošlij ojcu: tyle mu dokuczyłem w życiu — szeplenił spiekłemi ustami. Nagle spojrział badawczo. — Dlaczego nie dajesz mi pić? Chcesz pewnie, żebym skonał w tym lesie.

— Mój Boże! — przeląkł się Postrach — zaraz pobiegnę po wodę. — Właśnie kończył owijać straszną ranę.

— Ja chcę pić już, zaraz! — domagał się ranny z uporem.

Postrach wstał, rozejrzał się po milczących drzewach, przebiegł jak oszalały polankę dokoła i nic...

Żeby choć jakaś jagoda, żeby choć kilka kropel rosy na jakimś liście.

Powrócił i znów ukląkł.

— Może przenieść cię w cień? — zapytał.

— Daj pić, łajdaku!

— Już idę.

— Nie odchodź, proszę cię — błagał osłabionym głosem — napluj mi przedtem w usta: masz tyle śliny...

Ale ślina ugrzęzła gdzieś w krtani i na wargi rannego towarzysza spłynęły dwie białe, gorące jak łzy, krople piany.

Czuł Postrach, że wargi rannego czepiają się jego ust — jakby szukały w nich życia — napróżno: usta były popękane słońcem i zapchane, zamorusane kurzem.

Zerwał się i począł biec przed siebie, ku szosie — gnany jakąś ogłuszającą ciszą, która dzwoniła na

alarm, która gryzła i kaleczyła mu piersi. A drzewa stały, jak zwykle, bezmyślne, nieruchome, stłoczone i tarasowały mu przejście. Tu musi być gdzieś chata... sapał, biegnąc szosą. Dla ostrożności zerwał z ręki powstańczą opaskę. Nie słyszał nic, prócz wiatru. Otoczył się kurzem i biegł. Dopiero huk karabinów powstrzymał go i rzucił o szosę.

— Żeby was, Szwabry, mrowie — zaklął...

Przyszło mu na myśl, że przecież i oni są ludźmi, więc począł skamleć po niemiecku wody dla konającego towarzysza.

Otoczyły go złowrogie twarze. Dopiero teraz poznał powstańców z oddziału Zawiszy.

Poderwał się z ziemi jak sprężyna.

— Dawajcie wody, ale zaraz — krzyknął, tupiąc nogą.

— A ty zaś skund, pieronie? — zapytali.

— Dawać wody i już — porwał komuś butelkę z rąk i gnał zpowrotem.

Zbiegając z szosy, przewrócił się. Butelka stłukła się na szkliwo. Zapłakał na cały głos. Po raz pierwszy od tyłu, od tyłu lat, płakał.

Nagle spostrzegł Zagłobę, dźwigającego z jakimś chłopem ciało Sępa.

— Czy macie wodę? — wrzasnął.

— Na co? — spytał Zagłoba, mrużąc ryżą, piegowatą twarz.

— Dla Bohuna.

— Już pił. Leży nieprzytomny na furze,

Postrach patrzył, jakby nie rozumiał słów towarzysza.

— Gdzieś pod kamieniem — mówił dalej Zagłoba — ukrył papiery i jakąś wstążkę, czy coś, ale nie znalazłem... pewnie bredził w gorączce.

* * *

Podgrupa, pomimo tego wypadku, cofała się na Koczory, Rzędowice. Pozostawiała wsi prapolskie, piastowskie, wyzwolone krwią i poświęceniem powstań-
czym z długiej, germańskiej niewoli.

Ludność żegnała ze łzami ustępujące oddziały, z którymi żyła się, które były krew z krwi i kość z kości górnośląskie, a więc polskie, ichnie własne, bratnie.

I któż mógł przypuścić, że krok w krok za cofającą się armją suną jak lawina termitów sztostruplerzy mściwi i palący nienawiścią do wszystkiego, co prawdziwie śląskie?

* * *

Kompanja Precza przemaszerowała do Klekotna.

Na piątek, dnia 10 czerwca, byłznaczony pogrzeb Sępa w Lublińcu. Powstańcy na furach wyjechali, aby wziąć udział w smutnym obrzędzie.

Lubliniec, jak zwykle czysty, wypłokany świtem, jak zwykle biały i cichy, powitał jadących ślicznym porankiem. Z pomiędzy ogrodów występowały ściany pałaców i lśniły w różowym powietrzu. Szczyt kościelny

stał jak zwykle wyprostowany, ośmioboczny, z hełmem rycerskim na głowie; do jego stalowej piersi tuliła się biała wieżyczka nieśmiało: pożegnanie Wacława z Marią, deklamowane przez architekturę.

Niebo było przemyte nocnym deszczem, czyste jak pierś matki, karmiącej niemowlę. A ziemia przywarła ustami do wypukłego słońca i ssła... ssła życie.

Fura z powstańczykami stanęła na rynku. Obstawiali wieniec na trumnę, poczem odwiedzili rannego towarzysza w szpitalu.

Leżał na ogólnej sali przy samem oknie. Przezroczy-
stym wzrokiem wpatrywał się w ojca, który przybył z Herbów. Czasem wyfruwał spojrzeniem za okno i unosił się wśród szczebiotu jaskółek nad lasem. Ujrzawszy kolegów, zdziwił się. Spojrzał na zegar, wi-
szący na ścianie, jakby sprawdzał, czy przyszli na czas, i chciał się podnieść. Nie mógł. Białą, ceratową rękę podawał kolejno towarzyszom i ścisnął ich kurczowo, jakby pragnął zostawić odcisk swej dłoni na ich ciemnych, zdrowych rękach. Przywieźli mu plecak. Kazał wydostać z niego harmonijkę i pieścił ją, zdziwionemi, tkliwemi palcami.

— Bydzie pińć minut tymu nazad, jak sia łobudził po operacja — szepnęła sanitariuszka.

Doktór Willert — ojciec wszystkich rannych — w białym, operacyjnym fartuchu, przyszedł skinieniem głowy powitać obecnych.

— Pięć funtów mięsa musiałem usunąć — szepnął smutno — męczyłem nieboraka ze dwie godziny. — I dodał groźnie: — ekrazytówkami strzelają...

Heniek znów spojrzał na zegar.

— Czy wy już po obiedzie? — spytał swoim zwykłym głosem.

Nie było odpowiedzi.

— Panie doktorze, mnie się chce jeść — ja jeszcze dziś nic nie jadłem — głos jego brzmiał coraz natarczywiej.

Doktór pogłaskał go i spytał jak troskliwa matka: A co byś jadł, chłopcze?

— Kapustę!

Doktór zamyślił się, poczem skinął na sanitariuszkę. Wkrótce już Heniek zjadał łapczywie pierogi z kapustą. Zadowolony, opadł na poduszkę.

— Teraz chcę ciastko! — zadysponował, jak w cukierni.

Spełniono jego żądanie.

— Zaraz się lepiej czuję — bełkotał rozpromieniony.

— Panie doktorze, czy to mu aby nie zaszkodzi? — spytał Postrach, ale ujrzał, że „bezlitosny operator“, który już tyle cierpień w życiu oglądał, miał pod binoklami łzy: prawdziwe, ojcowskie łzy.

— Jemu już nic nie zaszkodzi — odparł cichutko.

Rzeczywiście — wkrótce sanitariuszka zapaliła świecę, koledzy pokłękali. W całej sali zrobiło się dziwnie cicho, bezludnie, ciemno, jakby w oknie stanął jakiś cień i przysłonił niebo.

Heniek rzęził.

Sanitarjuszka chciała mu przewiązać dolną szczękę, ale otworzył jeszcze oczy.

Przypomniął sobie coś ważnego, bo zmarszczył czoło i szepnął niewyraźnie: „trud“... Może chciał powiedzieć: „trudno“...?

Już nie żył.

Cała sala wpatrywała się w kąt pod oknem i modliła się w ciszy. Krew w skroniach dzwoniła jak kościół przy wyprowadzaniu zwłok bogacza.

Powoli świtało, słoneczniało, stawało się jaskółczo, jak przedtem.

Doktor uchylił prześcieradła. Modlący się ujrzeli drobne ciało Bohuna. Ze zwoju bandażu wymykały się chude nożyny, nabrzmiałe aż po pachwinę sinemi żyłami...

* * *

Prosto ze szpitala udali się koledzy do trupiarni.

Tuż koło starego zamku Piastów w dużym, białym budynku, pod balkonem pełnym pelargonij, znaleźli małe wejście oznaczone krzyżem. Na kamiennej posadzce przed ołtarzykiem leżało kilka trupów. Ze zmroku wystawały tylko jaśniejsze plamy: twarze i ręce.

Sanitarjuszka, która przywiodła powstańców, rozwarła wielkie frontowe drzwi i światło wlało się do wnętrza trupiarni. W świetle tem ujrzano drewnianą trumnę stojącą na ziemi.

Zdjęto wieko. U nóg towarzyszy leżał Sęp. Głowa jego z napoleońskim kosmykiem była dziwnie mała, jakby spłaszczona, przybita do tułowia. Ciało zato wydłużało się i rosło, rosło wielkie, nieproporcjonalne.

Jego twarz, choć dziecinna, była już pomarszczona i bezbarwna. Oczy miał niedomknięte, jakby chciał kogoś jeszcze zobaczyć po śmierci. Prawe oko lekko przekrwione; pod niem żółta plamka z kroplą wyciekającej ropy.

— To je mózg — objaśniła sanitariuszka głośnym, urzędowym tonem.

Palce miał zakurczone o siebie niezdarnie, jakby zmuszone do odmawiania ostatniej modlitwy w trumnie, już dawno po skonaniu.

Palce się modlą, a usta krzyczą: „Matko!”

Owijacze są jeszcze zakurzone walką, a za poznokciami piach, zachłannie zgarnięty z szosy, której nawet w agonji bronił i zasłaniał.

O szoso... szoso, wędrująca przez polski kraj — jakżeś daleko dziś od granic Rzeczypospolitej!

Nałożono i przyśrubowano wieko.

Nikt nie zapłakał nad trumną. Postrach patrzył na pudło z zakłopotanym uśmiechem: żegnał swe własne zwłoki.

Jeszcze rodzina nic nie wie o śmierci Zbyszka. Jeszcze kilka dni temu wysyłał list do matki... Czy serce matki — czytającej ten list — odczuje, że syn przemawia do niej już z grobu?

I nikt już więcej nie zobaczy tej nieruchomej twarzy zadartej do nieba, ani tych rąk brudnych, które zdają się modlitwę dusić za gardło.

* * *

W starym, mrocznym kościele, do którego świat zagląda przez zielone witraże — msza.

O, niekażdemu tak będą grały organy, niekażdemu zapłaczą tak rzewnie skrzypce w kościele!

Wieńcami polnych kwiatów — niewiedzieć skąd i od kogo — zasypano trumnę, że znikła jak grudka ziemi pod wiosenną trawą.

I któżby przypuścił, że ten powstańczyk, nikomu w Lublińcu nieznany, że ten 18-letni chłopiec znajdzie po śmierci tylu ojców, tyle matek w górnośląskim ludzie, że tyle łez popłynie nad jego dziecinną śmiercią?

A może to łzy zazdrości? Zazdrości, że tak młodo, tak bezboleśnie oddał życie w obronie Śląska, nie czekając na mokre od potu i przerażenia łożo śmiertelne, ani na łzy najbliższej rodziny, która wnet po pogrzebie zacznie się targować o każdy przecinek testamentu?

Organy biły się w piersi i chrapały przeciągle, jakby pragnęły na całe gardło krzyczeć: „w obronie Śląska... w obronie Śląska...”

* * *

Zwolna, posuwistym, żałobnym polonezem sunął wóz kwiatów. Wstęgi się za nim wlokły po ziemi. Na przedzie orkiestra z marszem żałobnym Szopena, jak ze sztandarem, który wydyma się na wietrze i łopocze skrzydłami. Po bokach powstańcy niosą pochodnie, tuż za trumną Postrach na czele kolegów, dalej powstańcy, powstańcy, w końcu lud lubliniecki.

Orszak przechodził przez Rynek i przez ulicę Lompa, aby dotrzeć do szerokiej alei, wiodącej na cmentarz.

Postrach spoglądał w ziemię i liczył własne kroki, gdy czyjś wzrok uczeplił się go kurczowo i przyciągał ku sobie. Wzdłuż ulicy, narówni z karawanem szła Truda. Obląkanemi oczyma odgarniała wieńce z trumny, czepiała się żółtych desek i biegła po twarzach przyjaciół, idących za zwłokami, jakby szukała kogoś i nie znalazła.

Tak, przeczucia jej nie omyliły: Heniek nie żyje.

Krzyknęła całą postacią i bezprzytomnie spłynęła w ręce towarzyszek.

* * *

Na barkach kolegów wchodziła trumna na cmentarz: miała spocząć we wspólnej powstańczej mogile.

Nad grobem przemawiali, płakali, poczem rozeszli się i Zbych pozostał sam na sam z deskami trumny.

Prawdziwy towarzyszu - towarzyszy, prawdziwy przyjacielu-przyjaciół — oto ziemia śląska, jak matka rodzona, tuli twoje nowe mieszkanie. Bądź zastępowym tego cmentarza, opowiadaj o Polsce zmarłym, którzy jej nie oglądali za życia, a żywym opowiadaj o śmierci swej, którą przyjąłeś z uśmiechem, aby naznaczyć granicę nie dyplomatycznych konszachtów, ale zachodnią granicę krwi polskiej, rozlanej na prawowitych ziemiach Rzeczypospolitej...

* * *

Wieczorem Postrach odwiedził Trudę Kochaniec.

Siedziała w maleńkim pokoiku na I-em piętrze i plotła wieńce z polnych kwiatów i świerkowych gałęzi.

Na widok wchodzącego, nie podniosła się z niskiego stołka, ale spytała nerwowo:

— Czy wspomniał co o mnie przed śmiercią?

Teraz dopiero domyślił się Postrach, że ostatniem, niedokończonem słowem Bohuna było jej imię. Powiedział jej to wprost.

Nie śmiał, kiedy już może pogodziła się z tym pogrzebem, rozdrapywać na nowo jej serca wyznaniem, że Heniek, jej muzyk ukochany, dopiero niedawno skończył. I tak spocznie obok Sępa w jednej mogile...

Truda nie płakała. Coraz szybciej palce jej, do krwi podrapane, biegały, wiązały, plotły kwiaty, leżące na ziemi, jakby śpieszyły się ślubne wieńce na czas przygotować.

— Nie będzie tego gdzie położyć... — szepnęła, widząc stos gotowych uplotów.

— To dla wszystkich powstańców — odjęła i odwróciła twarz.

— Odprowadzę cię na cmentarz, dobrze?

— Nie trzeba, pójdę sama... — rzekła stanowczo i pożegnała go milczeniem.

* * *

Postrach wrócił do „Śląskiego hotelu“, gdzie zastał towarzyszy pijących z Preczem jakieś wino.

Wołodajowski, który nie chciał iść do szpitala, pił chyba najwięcej, a pijany — plótł takie głupstwa, że dławiono się śmiechem jak ością w gardle.

Była może ósma wieczorem, gdy Postrach wymknął się jeszcze do trupiarni. Chciał pożegnać się z Heńkiem.

Trup leżał na ziemi pod samym krzyżem. Czerwona lampka językiem śliniła ciemności. W jej chibotach ujrzał Postrach podwiązaną twarz Bohuna.

Przeżegnał się i wybiegł z mrocznej izdebki, bo zmęczonym żrenicom zdawało się, że trupy przewracają się z boku na bok.

We drzwiach natknął się na Trudę, idącą jak przez sen z wielkim cieniem na ramionach. Niosła stos wieńców i mruczała:

— Wszystkich obdzielę równo, wszystkich...

— Gdzie idziesz? — spytał Postrach i zagroził jej drogę.

— Puść mnie! — warknęła.

— Byłaś na grobie Heńka?

— Byłam.

— Daj, ja sam złożę te wieńce.

— Idź precz! — wyszczerzyła zęby — będę kopać!

Wiedziona za rękę instynktem, podbiegła wprost pod krzyż, do zwłok ukochanego.

Potoczyły się wieńce po zakrwawionej koszulinie, po nogach zsiniałych od ekrazytu, po ustach przewiązanych bandażem, wyciągniętych jakby do rozmowy z Chrystusem.

A więc ją oszukali... To nie jego pochowano na cmentarzu! Niemcy, mordercy dzieci... takie straszne, czarne nogi!...

Nie mdlała.

Uklęka i przy świetle czerwonym, kapiącym na zwłoki Heńka jak łyż Ukrzyżowanego, przyglądała się pilnie każdemu włoskowi czarnopiórej grzywy i paznokciom, które tak pięknie dzwoniły po klawiszach, i ustom: rozsadnikom pocałunków i powiekom, drżącym w oświeceniu lampki, jakby miały się za chwilę odemknąć: ją całą w swej bezdni pochłonać.

Dotykała go koniuszkami palców, wybrzeżem swych warg, rzęsami błękitnych powiek.

A Postrach stał wrośnięty w zmrok trupiarni, rozdeptany... bezdomny... nieobecny...

V.

DYPLOMACJA CZY ZDRADA?

Precz pragnął wyruszyć na dawne pozycje. Ręka mu mniej dolegała, a wieści napływały coraz gorsze.

Wiadomo było, że generał angielski poto tylko pragnął wycofania wojsk powstańczych, aby cały kraj zpowrotem oddać Niemcom.

— Nie czekajmy zaś — wołał Precz — aż Germani ufestungują linje: wyciepmy pieronów weg!

Zapał jego udzielił się całemu baonowi, całej podgrupie, która, nie czekając rozkazów, ruszyła do dalszej walki.

Panika biegła przed Preczem i straszyla nieprzyjaciół.

Kompanja Jaśka atakuje Kadłuby i zajmuje je po upartej walce, kawalerja wymiata wroga z Pszczółkowa, Precz zajmuje Osieczko. Wszędzie zdobyto dawne pozycje, a 12-ta kompanja pod wodzą kadeta Zaszczyńskiego zaatakowała nawet ośrodek sił niemieckich: Leśną.

Powstańców-niedobitków wysłano, aby sprawdzili, skąd pochodzi strzelanina, która rozpętała się nad ranem. We czterech dopadli jakiejś fury i dalejże przez

las! Drzewa uciekały jak armja w rozsypce, gałęzie, niczem skrzydła przerażonych ptaków, tłukły ich po głowach, ale fura mknęła po wyboistej drodze coraz szybciej, coraz niecierpliwiej.

Tuż przed Leśną sanitariusz na taczkach wioził czyjeś zwłoki.

— Kto to? — wesoło huknęli przejazdem.

— Sierżant Zaszczyński. Postrzał w głowę — brzmiał meldunek.

Głowa Zaszczyńskiego zdrową, świeżą krwią owinięta jak chustą, zwisała z tacek. Nogi wlokły się, podskakując po wrzosie.

Koń szarpnął i fura mknęła znów z wyścigową chyżością.

Daję słowo, nie poznałem go po śmierci — oświadczył Zagłoba wesoło tem zdziwiony.

— Kompanijny zabronił nam wdawać się w walkę — bąknął Skrzetuski pod nosem.

Jak zwykle w takich razach, nikt mu nie odpowiedział.

Chłop zaciął konie i jechał...

Oto i wieś.

Na skraju lasu — wprost karczmy — natknęli się na kolegów szkolnych: Kłopotą i Dębinę — dowódców plutonu. We dwóch, po śmierci Zaszczyńskiego, prowadzili kompanję.

Karczma, oddzielona od lasu niedużem rzyskiem, była mocno ufortyfikowana. Z górnych jej okien groziły karabiny maszynowe, ale czy to pierwszy szturm tak skruszył obrońców, czy też widok nadjeżdżającej pomocy — dość, że z okien wyjrzały nieśmiało bia-

łe chorągwie. Kilku żołnierzy niemieckich wyszło przed karczmę i na znak poddania rzuciło karabiny.

— Górą nasze! — krzyknęli powstańcy i pośpieszyli ku budowli.

Białe chorągiewki drżały z obawy czy z niecierpliwości, aż... opadły nagle, a na ich miejsce wypłynął sztandar cesarski i wszystkie okna zadudniły od wystrzałów.

— Hoch Kaiser Wilhelm!...

Kilku powstańców padło, reszta — za blisko dopuszczona — zamiast cofać się pod ogień, dobiegła do karczmy, obrzucając ją granatami. Przez włomy dostano się do ryczącego, zwarjowanego wnętrza. Poczęła się wspólna rzeź, katowice: kolbą, rewolwerem, pięścią.

Niemcy uchodzili w popłochu na koniec wsi — pod młyn.

Z chat wyglądały przerażone kobiece twarze, nie wierzące własnym oczom. Oto te butne, hełmiaste Niemce, które we Francji pobiły cały świat, a nawet Negrów — tu uciekają przed swoimi, przed śląskimi chłopakami!

W sercach świadków tej bitwy nastąpił jakiś przełom, bunt. O, gdyby teraz na Górnym Śląsku ogłoszono plebiscyt, ani jedna wieś nie zawahałaby się w wyborze!

Postrach poskoczył do Kłopoty.

— Daj mi pluton, chcę iść na młyn odbić więźniów! — wołał.

— Zaczekaj — widzisz, co trupów leży, a na młynie maszynowier tylko czeka.

Postrach, zgnębiony, wrócił do kolegów. Wiedział, że gdyby taki szturm się nie powiodł, byłoby już po wszystkim.

Nagle do grupy powstańczyków nadbiegł Lermont:

— Nie idziecie?

Spojrzeni zdziwieni na jego oczy, tryskające gorącką, na zapadłe, ruchome policzki i koszulę rozdartą na piersiach. „Szwależer z Saskiego Ogrodu“ był niepodobny do siebie.

Nie słysząc odpowiedzi, machnął ręką i nagle krzyknął, jakby chciał sam siebie ogłuszyć.

— Przecież ona jest tam — we młynie!

Zanim zrozumieli, czego od nich chce, biegł już na niemieckie pozycje, wprost w łapy śmierci.

Postrach oparł się o kolegów mocnym wzrokiem, a gdy po chwili oczy ich odpowiedziały mu tak samo, — szeptem bolesnym zakomenderował: naprzód!

Pogonili za towarzyszem.

We wsi powstało zamieszanie. Grupki po czterech, po pięciu powstańców wysypały się ze wszystkich kątów i ruszyły na młyn bez żadnego rozkazu, porwane tylko pędem, wichurą przebiegających powstańczyków.

Nie spodziewano się po przeciwnej stronie takiej błyskawicy. Gdy spostrzeżono atak, Lermont był już przy drucianych zasiekach i rąbał je kolbą, że tylko pieńki śmigły w powietrzu. Rozległa się bezładna strzelanina, ale obrońcy, zdezorientowani nową „tatyka“ szturm, myśleli tylko o wycofaniu miotaka z niebezpieczeństwa i o własnym ratunku. Nie było to takie łatwe, bo powstańcy zacięcie ostrzeliwali drogę za młynem. Od cze-

goż jednak niemiecka „tradycja wojenna“? Z młyna wygnano na pociski atakujących tłum więźniów. Kilku z nich padło od bratobójczych strzałów, ale reszta żywym murem zastąpiła swych siepaczy od śmierci.

Lermon, cały uznoiony krwią, szukał wśród uwolnionych Betti, a gdy ją poznał — chwycił za rękę i wiódł poza strefę walki. Długo nią wstrząsał, brał w ramiona, zanim go rozpoznała przerażonym wzrokiem. Nie była to już ta sama dziewczyna z niebieskim motylem w gęstych, jak miód lipcowy, włosach — dziewczyna krwista, niby upalny, letni dzień. Cień żółty z niej pozostał, przerażone, bezwyraźne widmo o gorączkowem patrzeniu.

— Uciekaj stąd do Lublińca! — szeptał Lermon, całując ją zakrwawionemi ustami po rękach.

Z pomocą Postracha usadowił ją na furze i począł szeplenić lepkim, zachłyśniętym głosem. — Przebaczenie mi... i bądźcie... razem... szczęśliwi! — Chciał coś dodać jeszcze, ale utworzył tylko usta pełne krwi i zachwiał się na nogach.

Sanitarjusze ułożyli go pod drzewem.

Fury z więźniami ruszyły w drogę. Postrach siedł obok ze zwieszoną głową. Mówił coś do Betti, ale sam nie rozumiał swych powiedzeń. Nie śmiał jej pytać o matkę; wiedział już, że przewieziono starą niemowę do więzienia w Opolu.

Betti odjechała. Pozostał niepożegnany, wpatrzony w koła, które ciągnęły za sobą cień ukochanej, śmiejąc się przytem potwornym, skrzypiącym głosem.

Powrócił do rannego towarzysza. Ukląkł, aby mu wyznać, że rezygnuje z dalszej walki, że prosi o przebaczenie. Ale Elegant, wystrojony w pokrwawione bandażę, nie usłyszał już jego głosu. Dogorywał cicho, jak słońce o zachodzie.

Właśnie dzielono się amunicją, gdy na drodze rozległo się trąbienie auta i kilku oficerów koalicyjnych podeszło do powstańców.

Przywieźli z dowództwa grupy rozkaz natychmiastowego wycofania się z zajętej wsi.

Postrach z furją przyskoczył do francuskiego oficera i łamanemi słowami przedstawił mu podstęp niemiecki, wskazał rannych i zabitych, leżących wokół karczmy.

— Haute Silesie — c'est notre Alsace! To więcej, niż dla was Alzacja! — zaklinał, prosił, żebrał zrozumienia. — Przecież ta wieś wszystkie głosy oddała za Polską — wołał — jakże ją mamy opuścić?

Francuz zasmucił się, pokiwał głową, ale w odpowiedzi wskazał tylko angielskiego pułkownika, który gwiźdał przez zęby i tłukł niecierpliwie pajczą o żółte cholewy.

Ku zdumieniu całej wsi polskiej, ku szatańskiej radości wrogów — zwycięscy powstańcy wycofali się z Leśnej. Zachodnie granice Najjaśniejszej zostały nakreślone nie wolą ludu, nie zwycięskim orężem, ale ołówkami dyplomatów na marginesie rachunków z cenami węgla i kosztorysami transportu!

Kupcze angielski w generalskim mundurze, handlarzu obcej krwi, zasłonięty od gniewu kontynentu bary-

kadami morza! Gentelman'ie, uznający tylko własne bohaterstwo, własną kulturę i własne zwycięstwo!

* * *

Czterech powstańców wróciło do Osieczka. Wobec spokoju całej linii, Precz wysłał Postracha z zawiadomieniem matki o śmierci Sępa.

Przed wyjazdem Postrach odnalazł Betti w Lublińcu. Leżała w szpitalu, dusznym od chloroformu i olejnej czystości.

Złamały ją i poszarpały na strzępy jakieś przeżycia więzienne, o których Postrach nie śmiał nawet myśleć.

Zrywała się z łóżka i chciała biec do Opoła — szukać matki. Gdy ją uspokajano — płakała.

— Mama tako staro, gadanie jej odjeno, a teraz samo je, poniechano u tych rauberów pierońskich.

— Mamę już pewnie uwolnili — pocieszał ją Postrach.

— Uwolnili? — cygonisz, jakieś zwyczajny. Już w Leśny te orgole tak łosprowiali, jak se uchleptali, a zaś chcieli, iżebych se im przymilił deła skorzej. A jo ty same nocki słyszolać krzyk matki bez ściany, chociaż woda cyngiem w młynie chlupociła, a oni hałasili kole mnie. Poznałać głos z jej gardziola, bo był długi, targany...

Przerwała z nadmiaru wzruszenia, a po chwili krzyknęła jeszcze groźniej:

— Oni — tu wskazała Postracha palcem — nie śmieli do nos przychodzić. Poco bely ty roztomajte śnio-

danio, ty godki, ty kamraty? Terazki bezma i bez nich — to matuli pokaranie.

Twarz jej piwniczną, pożółkłą, zmęczoną kaszlem i gorączką, wstrząsały dygoty gniewu.

Postrach opuścił głowę. Oddawna zatruwały go wyrzuty. Wiedział, że jest winowajcą.

Ale Betti nie przerywała oskarżenia. Zwałała na Postracha ciężar ogromny, który ją dotąd przygniatał:

— Dlaczegoś nie broniliśta Wachowa przed Miemcami i dzisiaj ostawiała nas, chocia mówiliśta, coście Polocy som, jako my — dlaczegoś? Nie mogliśta zaroski spokojić, dziepiero znómka mi wyosiłła, iżeśta farony, kibice cygońskie som! Śklarze!

Płacz i kaszel wstrząsał jej zapadłymi piersiami. Na całej sali chore podnosiły się z łóżek, aż sanitariuszka siłą wypchnęła Postracha za drzwi.

* * *

Podróż. Doniesienie matce o śmierci Sępa, inhumacja zwłok i pogrzeb towarzysza w Skowronkach — masa wrażeń w ciągu krótkiego czasu — nie pozwoliły ani na chwilę zapomnieć Postrachowi o biednej, mizernej dziewczynie, zrywającej się w koszuli ze szpitalnego łóżka.

Idąc przez pola uprawne — myślał o Wachowie, każdy pokarm przypominał mu śniadania w chacie Zabórów, nawet siostrzyczka Zbyszka — choć tak do Betti

niepodobna — przecież miała smutne, przez łzy spoglądanie jak tamta...

* * *

Po powrocie z podróży do Osieczka zastał Postrach w kompanji wielkie zmiany. Powstańczyków, jako dezertérów z Korpusu, w czasie jego nieobecności aresztowano i odstawiono do Lwowa.

Cała armja powstańcza, na rozkaz Koalicji, miała wkrótce wycofać się ze Śląska. Jaka była dokładna treść tego rozkazu — nikt nie wiedział.

Pewnego dnia wybrał się Postrach do Lublińca, ale nie zastał już Betti w szpitalu. „Wypisała się“ — powiedziano mu w kancelarji. Dokąd? Niewiadomo. Ale on domyślał się gdzie... i był bezsilny.

* * *

Dnia 1 lipca podgrupa Butryma, przemianowana już na 8 p. p. tarnogórskiej, przeszła granicę w Herbach, udając się do Inowrocławia. Koalicja powierzyła Polsce likwidację powstańczej siły zbrojnej. Obawiając się sprzeciwu „skazanych na rozbrojenie“, tłumaczono Ślązakom, że jadą, aby w Polsce otrzymać żołd za cały czas powstania, że zostaną świetnie umundurowani i wkroczą na tereny Śląska — przyznane Polsce — na czele armji, jako — „Biało-Błękitna Gwardja Pieronów Śląskich“.

Nic też dziwnego, że radość panowała w towarówkach, goniących lokomotywę w drodze do Inowrocławia, chociaż towarówki te były po wapnie i powstańcy po wyjściu z nich wyglądali jak młynarze.

Gruby, grubszy od „Trylogji“ Sienkiewicza, major w niezapomnianym austriackim mundurze, na którym nitki od medali cesarskich znaczyły położone zasługi — powitał ich w Inowrocławiu:

— Bracia-rodacy... oto Polska was wita, jak bohaterów, którzy przez sześćset lat odpierali szturmy germańskie! Imiona wasze złotemi zgłoskami zostaną wyryte w Panteonie naszej historii!...

Mówił jeszcze długo, bo blisko pół godziny. Powstańcy płakali początkowo jak dzieci... potem, zdziwieni, obserwowali tylko jego gumowe usta, trzaskające w powietrzu słowami, obserwowali wyrzuty rąk, które na wszystkie strony gromiły nieprzyjaciół, a do serca i do kieszeni przytulały... Śląsk... „tę perłę Korony Polskiej, tę kopalnię czarnego złota“...

Po dwudziestu minutach patryotycznej elokwencji majora — Precz kipiał z niecierpliwości. Wiechcie jego posiwiałych wąsów i straszne, przekrwawione oczy drżały, zdawały się krzyczeć, kłać! Gniew jego skwierczał i dygotał, jak granat na chwilę przed wybuchem. On, który karał swych żołnierzy za używanie takich słów jak „Bohaterstwo“ lub „Poświęcenie dla Ojczyzny“ — tu oto stoi pod pręgierzem tych świętych wyrazów, które, jak ślina choremu, ciekną nieprzerwanie z patetycznych ust majora...

Na szczęście orator zakończył, przysięgając „w imieniu Polski“, że nie zapomni im tego poświęcenia i wynagrodzi ich po królewsku!

Radość była w koszarach, że ojej!

Nie zważali na to, że kuchnia nie dawała im mięsa na obiad, ani omasty, choć widzieli jak podoficerowie zawodowi sprzedawali połcie słoniny; nie oburzali się, że kartofli było mało, choć wiedzieli, że kucharz za obieranie dawał kilku protegowanym dziewczynom obierki dla świń — grubości palca. Nie zważali na to wszystko.

* * *

Postrach z plutonowymi Rolandem i Kotkiem włóczyli się po mieście. Buty mieli powiązane sznurkami, koszule w strzępach; ostatnie marki rozpląnęły się już dawno na fenigi. Najgorsze, że byli „robaczywi“, że ludzie stronili od nich, że nawet z pieniędzmi nie puszczo-noby ich do cukierni. Z pierwszych na Śląsku — zdegradowani zostali w Inowrocławiu na ostatnich.

Tymczasem przez szyby widzieli, jak kuracjusze z całej Polski — bogaci, aroganccy — jedli i pili, aż im się trzęsły galaretowe karki.

A tu, przed szybą... oczy i żołądki w torturach!

— Pieronie — równoj zaś z Wachowem ty biyde powstańcze. Ni? — narzekał Roland, rozparty na ławce Solankowego parku.

— Żebych choć sto marków na cygarety wypłaciły te kołtony — dodał Kotek.

— Przecie byliśmy wczoraj w delegacji — wtrącił się Postrach, zapatrzony dotąd na białą ubraną, flirtującą parę — i nic z tego...

— Możaśta źle kunferowali z majorym? — pytał Kotek, który nie należał do delegacji.

— Kaj ta źle — zaczął Roland. — Powiedzieliśm, iże wygrolichm wojna, ale to beł nosz dinst — ni? — i nie chcyma żadnych nagrodów telko nosz żołd i fer-tik — ni?

— A co zaś major?

— Powiedział, że historja Polski poświęci nam cały rozdział — odpowiedział mu Postrach.

— Co zaś poświyni? — dopytywał się.

— Rozdziół — to je dwadzieści abo szydzieści stro-nów napisania — wytłumaczył mu Roland.

Właśnie kilku eleganckich młodzieńców przeszło mimo. Szli widocznie na korty tenisowe, bo rakiety mieli w rękach. Przypatrywali się uważnie powstańcom i, odchodząc, rozmawiali ze sobą po francusku.

— Ciekawy jestem — mówił jeden — czy naprzykład te obdarte chamy wiedzą chociaż, o co walczą.

— Właśnie — potaknął sentymentalnie drugi „pacyfista“ — myślę podejść do nich i powiedzieć: „Bliźni moi, nie strzelajcie do swych braci-robotników z Niemiec!“ — Po chwili zaś dodał z zajadłym patosem: — „Wiem, że zmuszają was do tego panowie-szlachta, ale wy rńnijcie karabinem o ziemię... niech pokój i sprawiedliwość zapanują wreszcie na świecie!“

Poszli dalej grać w tenisa.

Postrach chciał zakłąć za nimi, ale mu język zdrętwiał w gębie.

— Chodźmy od tej burżujskiej grandy — rzekł do towarzyszy. — Jak to okropnie żyć pod jednym dachem — dodał już tylko do siebie — i nie rozumieć się zupełnie.

* * *

Trzynasty — feralny dzień — lipca zakończył czerwonym znakiem zapytania historję Północnej Grupy Powstańczej.

Rano, podczas zbiórki baonu na dziedzińcu „Czerwonych koszar“, przybył znany major w austriackim mundurze, i rozkazał natychmiastowe złożenie broni.

Powstało zamieszanie.

— Nie ty deł gewery, pieruchu, nie ty ji odbierysz...

— Cioraj, Germanom wydrzy, jak mychmy to robieli!

Jak mógł uspokajał Precz innych, choć z psiej pasji targał wąsiska obiema rękoma.

— Brudnechmy som!

— Głodnel

— Odarte!

— Robaczywe! — leciały słowa jak kamienie mimo uszu majora, nie trafiając go ani w łeb patryjotycznie uśmiechnięty, ani w piersi rozdęte, jakby w oczekiwaniu na medale.

Sam się tylko podburzał półgłosem:

— Dwóch podoficerów w kawiarni strzeliło do portretu cesarza Wilhelma, wczoraj awantura z ulicznikami,

dziś kradzież jabłek w ogrodzie. Dość tego! — Marszczył brwi, jakby stał na barykadach i był jeszcze groźniejszy, nieustępliwszy, bohaterski.

A ci nie przestawali krzyczeć.

— Fasung dawać! Żołd! Porządek ma być i szluss!

— Złożyć broń! — krzyknął major, jakby chciał pracować po pyskach.

— Śmij się, pieronie — odkrzyknięto.

Brama się rozwarła; na dziedziniec wjechały cztery opancerzone automobile.

Precz wstrząsnął zakrwawionemi ślepiami i wyrósł tuż przed majorem.

— Psiłbie, pieronie, bier ty autoki, bo cia zatraskała! — wychuchał mu prosto na twarz.

— Cof się, gnidzie! — huknęła kompanja.

Nie było żartów.

Na znak majora automobile wyjechały za bramę, przez którą i on sam wkrótce wybiegł na ulicę.

Precz wielkimi krokami mierzył front swej kompanji. Oczy w nim latały, jak czerwone kule bilardowe.

— Składać broń! — rozkazał krótko i, podszedłszy do bramy, pierwszy wyrzucił swój mauzer pod nogi przerażonego majora. Mauzer z pod St. Quentin, z pod Wilna i z pod Oleśna, mauzer, przed którym major polski powinien przyknieść, a który major w austriackim mundurze zgarnął i nadeptał butem.

Bez jednego słowa protestu leciały przez żelazne sztachety karabiny zdobyte na wrogu. Płacz jak agrafka zapiął im gardła, ale nie pokazali żalu. Dopiero, gdy

wpadli do koszar, odemknęły się krtanie i płacz ustami buchnął jak wymioty.

Tłoczyli się do okien. Po przeciwnej stronie ulicy bramę „Białych koszar“ wypełnił bezbronny tłum powstańców-dezerterów z Wojsk Polskich. Nie chcieli przepuścić do wnętrza koszar pancernych automobili. Dowódcy ich odeszli — byli więc zdani na własne poczucie prawa i racji.

— Same złożymy broń na befel dowództwa Powstania.

Major się już nie pokazywał. Zastąpił go porucznik żandarmerji o wybitnie semickim wyglądzie.

— Złóżcie broń, to nie zostaniecie ukarani i wypłacimy wam podwójny żołd — obiecywał, będąc pewnym, że przed tym argumentem wszyscy ustąpią. To też zdziwił się, że nawet ci, którzy dotąd domagali się zapłaty, teraz wyrażali oburzenie.

— Nie kupisz nos — hinterlandzisto żandarski, nie chcymy waszych marków zapieruszonych. Befel z Grupy ma być, albo od Kurfantego i fertik!

— Precz od bramy, bo każę strzelać! — krzyknął.

— Ty w nas? W powstońskich pieronów? — zapytywano tak groźnie, że nawet żandarm się zmieszał.

— Strzyl! Strzyl!

Pierwszy rząd poklekał przed sztachetami, rozdarł — umorusane w glinie śląskiej i w pocie własnym — koszule, obnażając zapadłe, górnicze piersi.

Kto widział raz jeden oczy tych klęczących — ten zrozumie wszystkie czyny polskich szaleńców-entuzjastów. Ale oficer nie rozumiał.

Obcy był tradycją, krwią i kulturą tym nieustępliwym szaficznikom Słowiańszczyzny. Obcy był tym szkaplerzom świętym, wyglądającym twarzą Chrystusa z nagich piersi. Nie rozumiał ich i czyż można go za to winić?

— Przepuścić, albo każę strzelać! — powtórzył z naciskiem.

— Strzyl — żydu — jak nimosz drętwy!

Coś mu się przypomniało. Uśmiech wykrzywił obwisłe wargi, mściwa, zahaczona twarz napęczyła radością. Odszedł na bok.

Strzelać!

Zadygotały automobile, dachówki na koszarach trzaśkały. Podoficerowie nie śmieli przeszywać szkaplerzy i serc bratnich kulami.

„Dezerterzy“ przymknęli oczy i poczęli jęczeć modlitwę:

— Łojcze nasz, kiereś je w niebie, świnyć się imia Twoje...

Dachówki spadały daleko za nimi jak zestrzelone ptaki.

Ale znalazł się chorąży — wierny wykonawca rozkazów porucznika.

Z okien „Czerwonych koszar“ wychylili się rozbrojeni powstańcy, a widzą czarny, kołtuniasty łeb chorążego podnieśli krzyk.

— Boże! Zatrzask tygo psa!

Chorąży skoczył na autoka, pięścią odepchnął kaprała i zawiesił nad karabinem maszynowym krogulczą, straszną twarz.

Zniżył pociski, aż świstnęło w powietrzu, jakby kto batem ciął.

Rozległ się chlupot.

Kule padały w piersi, niczem kamienie w staw.

Pierwszy rząd — pochylił się z modlitwą, jakby się w piersi przebite uderzał, poczem krzyżem spróchniałym runął na sztachety.

Na pierwszy rząd zwalili się inni.

Chorąży szalały dalej, ale karabin nie chciał więcej zabijać — zaciął się i ani rusz.

Przerwano mordownię. „Białe koszary“ złożyły broń. Autoki wjechały na dziedziniec. Porucznik ustawił wszystkich w jeden szereg i wyszukiwał rozpromienionymi oczyma „agitatorów odpowiedzialnych za rozruchy“.

Postrach znosił trupy i rannych. Było ich razem ze trzydziestu; wśród rannych poznał plutonowego Kotka, który prosił go na migi o „cygareta“. Postrach wetknął mu papierosa w usta i patrzył okrągłym, żabim wzrokiem, jak papieros przygasał, wysuwał się z pożółkłych zębów, aż — stoczył się wreszcie na piersi towarzysza.

Postrach stanął wraz z innymi w szeregu. W uszach huczała mu burza, na usta cisnęły się klątwy. Zakasał zmoczone krwią przyjaciela rękawy i dygotał jak piec nagrany. Zdawało mu się, że stoi przed wielkim trybunałem, że to on, urodzony na Śląsku i Polak bez zastrzeżeń, odpowie za to, co się stało przed chwilą, a nie ów cudzoziemiec bez ojczyzny w mundurze polskiego żandarma.

Właśnie przebiegał, dzwoniąc ostrogami. Rękami krzyczał, wymachiwał wzrokiem i oskarżał.

Spojrzenie Postracha przyskoczyło do oficera z pazurami, aż ten stanął, przykucnął w sobie i nos zmarszczkami wykrzywił; przeszperał oczami całą postać przeciwnika: oczy nabrzmiałe niedawnym płaczem, koszulę i ręce ubabrane krwią.

— Stanąć na baczność! — zakomenderował.

— Ja nie żołnierz, ja powstaniec — charknął z głębi gardła.

— Milczeć! — aha... poznaję pana agitatora — syczał żandarm z lubością — żołnierze, brać mi tego ptaszka... już teraz nam nie ucieknie...

— Pójdę — wrzasnął na cały głos aresztowany — ale, pamiętaj, i ciebie kiedyś osądzą!

Odprowadzono go do grupy wystraszonych powstańców.

— Nie bójcie się! Bóg jest sprawiedliwy. Jeśli cierpicie niewinnie, czeka was za to nagroda!

Sam nie wiedział, skąd takie podniosłe słowa znalazły się w jego ustach, drżących z oburzenia. Miał lzy w oczach. Zazdrościł tym, co zginęli przy bramie, marzył o tem i modlił się, żeby go na oczach wszystkich zebranych Ślązaków i nieślązaków rozstrzelano, pozwalając mu krzyknąć przed śmiercią:

— Bracia, to pomyłka, to nieobliczalny rozkaz! Bracia, nie wińcie o to Polski!

Precz dostał nerwowego ataku i wyniesiono go na rękach z szeregów.

Dowódca baonu ujął się za ostatnim „powstańczym“, który zostawał pod jego komendą. Podeszedł do porucznika, tłumacząc mu, że aresztował przez omyłkę kadeta i wzorowego patriotę, który przecież innych zachęcał do złożenia broni.

— Zwolnić go — oczywiście! — rozkazał żandarm, ale gdy ujrzał, że z pomiędzy aresztowanych wyprowadzają powstańca o buntowniczym spojrzeniu i zakrwawionych rękach — oburzył się.

— Nie — tego ptaszka nie zwolnię — ten posiedzi! Mam ich traktować jak zwykłych dezterów. Zastłaniali się rozkazem dowództwa powstania — gdy ja mam wyraźny rozkaz samej Rady Ambasadorów. Chyba nie potrzebuje się przed nimi tłumaczyć? Rozkaz to rozkaz. Agitatorzy! Istna Komuna!

* * *

Nora. Ciemna celka z zakratowanym okienkiem. Drewniana prycza. Bij łbem o ściany: nie ustąpią ani na centymetr.

* * *

Zwolnienie z aresztu nastąpiło nagle.

Koledzy, przyszykowani już do wyjazdu, radośnie witali Postracha. Wręczono mu list. To Betti przepraszała go za scenę w szpitalu. Wróciła już z Opola i oczekuje go w Lublińcu. Chce się z nim pożegnać na zawsze. Po matce, która umarła w więzieniu na „epidemię gra-

sującą wśród Polaków“, po Lermonie, którego do śmierci nie zapomni, on jeden jej pozostał. Chce mu opowiedzieć wszystko przed ostatniem pożegnaniem i chce, żeby jej wszystko przebaczył.

„Przybądź! Byle prędzej!“ — zdawało się krzyczeć niecierpliwie każde słowo listu.

Powstańców rozdzielono: Ślązakom pozwolono wracać do miejsca zamieszkania, a kilkudziesięciu dezertarów z Wojsk Polskich miało się udać po mundury do Poznania, aby stamtąd wyruszyć ku granicy i wkroczyć na Śląsk na czele Armji Polskiej.

Postrach, chociaż na Śląsku urodzony, przyłączył się do grupy „dezertarów“.

— Zamiast tłuc się w łachmanach i bez grosza w kieszeni — oblekę nowy mundur i za tydzień już wkroczę na Śląsk — marzył.

Napisał kartę do Betti, żeby go czekała, że kocha ją silniej jeszcze, niż niegdyś, że pragnie, aby o przejściach w niewoli zapomniała, że to on właśnie prosi ją o przebaczenie. Kartę, żeby prędzej doszła, postanowił wysłać z Poznania.

* * *

Pociąg już czekał poza stacją. Gdy dezertarzy wepchnęli się do towarówek — pozamykano ich na kłódki.

Do Poznania przybyli w nocy. Otoczyli ich żandarmi i poprowadzili na III fort. O wysłaniu karty nie mógł Postrach nawet marzyć.

W forcie odebrano im wszystko, prócz ubrania na ciele. Najłżejszy odruch protestu druzgotano pięściami.

— Rabowaliście na Śląsku — grozili żandarmi — teraz się porachujemy!

Kto przeżył cierpienia głupio i bezmyślnie zadawane w karnej kompanji, kto całemi godzinami naczczo biegał dokoła budynku z tornistrem wypchanym cegłami — ten wie, czem stać się może „bezwzględna karność wojskowa“ w rękach „frajtrów i kaporali“.

Tak wlokły się, pełzały tygodnie za tygodniami.

Postrach miał gorączkę. Widział wciąż pożółkłą twarz Betti, zrywającej się ze szpitalnego łóżka, słyszał jej kaszel i płacz tłumiony w poduszkach. Chudy, mizerny, szaro-fioletowy płacz...

Listy, schowane na piersiach, czytał już sto razy. Dwa listy: swój i jej. Czytał dotykem, bo słowa znał napamięć jak dwie modlitwy: modlitwę miłości i modlitwę rozpacz.

Był, gorzej niż w więzieniu, odcięty od świata. Zwodzony most nie opuszczał się nigdy nad fosą. Nikt tu nie przychodził i nikt stąd nie wychodził. Beznadziejna, nieznana wysepka na środku oceanów.

Największą męczarnią Postracha była świadomość, że nikt go nie zmuszał tu przyjeżdżać, że jako Ślązak, i do tego niepełnoletni, mógł pojechać, gdzie chciał: naprzykład na Śląsk, okupowany przez Koalicję. Dziś byłby już szczęśliwy. Dlaczego tak się stało? Czyżby nie miał prawa do szczęścia?

W gorączkowych ekstazach i pogrążeniach wywoływał postać Szwoleżera, któremu zazdrościł zwycięstwa w „pojedynku“ i śmierci.

Dopiero przybycie na III fort por. Skotarczaka ulżyło więźniom. Nieproduktywne, demoralizujące bieganie wokół podwórza zmieniło się na sypanie kopca Unji Lubelskiej, który rósł z dnia na dzień. Kopano z zapałem i radością, gdyż wiadano, co oznacza ta „sztuczna góra“.

Nareszcie udało się Postrachowi zmylić czujność straży i zbiec, kryjąc się wśród wycieczki, zwiedzającej kopiec.

* * *

Napróżno żebrak zarośnięty i podarty wypytywał się w Lublińcu o Betti Zabór. Powiedzieli mu, że była, czekała. Słyszano, jak rozmawiała ze sobą po nocach. Odjechała pokryjomu, żeby się z nikim nie żegnać.

Zato na grobie Bohuna, śniącego dotąd może o nigdy nieprzyznanym, — choć sto razy zdobytym — krzyżu „virtuti militari“, leżały świeże, kwitnące jeszcze, bukiety.

Jak tu dobrze na tym cmentarzu, jak tu pachnie...

TRZY SŁOWA ZAKOŃCZENIA.

PIERWSZE SŁOWO.

Mieszka z synkiem w Lublińcu na ulicy Damrota i z trwogą słucha opowiadań o prześladowaniach na Śląsku Opolskim.

Grób powstańców na cmentarzu kwitnie od jej modłów codziennych. Często, grób ten biorąc na świadka, opowiada synkowi o wielkim dniu Wyzwolenia, niestety, częściowego tylko.

I któżby odgadł, że w ciągu swej młodości nie posłyszała ona ani jednego dobrego, ani jednego sprawiedliwego słowa? Same oszczerstwa, same kłamstwa, same kalumnie!

A może to dla tego Polskę ukochała właśnie?

DRUGIE SŁOWO.

Przy kuflu piwa siedzi, dysząc ciężko i gryzie swe myśli, gorzkie pewnie, bo kwadratowa — blizną jak sznurkiem przewiązana — twarz łamie się niby gnieciony papier. Co chwila spluwa z pod wielkich, posiwiałych wąsów przytłumionym jękiem.

Od wczoraj jest bez posady. Na jego miejsce powołano byłego c. k. urzędnika z Sambora, zwabionego 40%-ym dodatkiem wojewódzkim.

Jacyś młodzi grają w bilard i kule trzaskają o siebie jak wystrzały z pod Wachowa.

— Płacić! — wrzasnął groźnie — aby zagłuszyć powracające wspomnienia.

Wybiegł za miasto i taczał się wśród drzew.

— Obudźcie się — na Boga! — wołał w myślach coraz głośniejsze — bo źle się tu dzieje — na Kresach! Jesteśmy rozdarci. Najżyźniejsze, najbardziej polskie, ziemie zostały tam, za kordonem i jęczą w pruskim zaborze, a tu zapomniano już o tem, że i one czekają Wyzwolenia! Tu — matura więcej znaczy, niż ofiara krwi i prawdziwa miłość Ojczyzny; stąd emigrują dawni powstańcy, aby zrobić miejsce Polakom, którzy często nie wiedzą, co to jest Polska, — tym nawet, którzy pasorzytują na jej ciele i na jej duszy: tym czarnym handlarzom, co jak gazy trujące pełzną, niszcząc za sobą uczciwość, rozpleniając fałsz i szerząc — tak, szerząc — nową germanizację Śląska.

Polskie ziemie, naznaczone mogiłami powstańców, muszą jak córki do Matki swej powrócić, a tu musi nastąpić ogólne pobratanie. Żadnych partyj prócz: my i nasz wróg. Do pracy pod tą, czy pod inną komendą! Rzeką krwi Polska okupiła wolność i tylko morzem potu wolność tę zabezpieczy.

TRZECIE SŁOWO.

W cegielni w Bytomiu — a raczej w Beuthen — schylona nad taczkami pracuje, nie licząc godzin, ani dni, ani miesięcy.

Twarz ma brudną i pokąsaną krostami; łachmany lepią się na niej, jak glina. Jest milcząca. Nikt z ust jej innego słowa nie posłyszał prócz „ja“.

Po jakiemu to: po polsku, czy po niemiecku?

Koleżanki ją nazywają „Warjotka“, i szydzą z małej, brudnej wstążeczki, którą w formie ćmy wiąże sobie na rzadkich, anemicznych włosach.

Chorobliwa, zjadła pracowitość każe jej od świtu oczekiwać otwarcia cegielni, a wieczorem nie można jej od taczek odgonić.

Stosy cegieł rosną, rosną. Pracuje szybko, jakby chciała cały Śląsk wymurować chatami, których się ogień nie ima; wymurować twardo ten Śląsk z pod zaboru, ziemię Gawronów i Wydrzyborów, przez którą wędrują szosy z torbami kurzu na plecach, w łachmanach brudnych jeszcze od mózgu i krwi powstańców.

KONIEC

Bielsko, 1929 r.



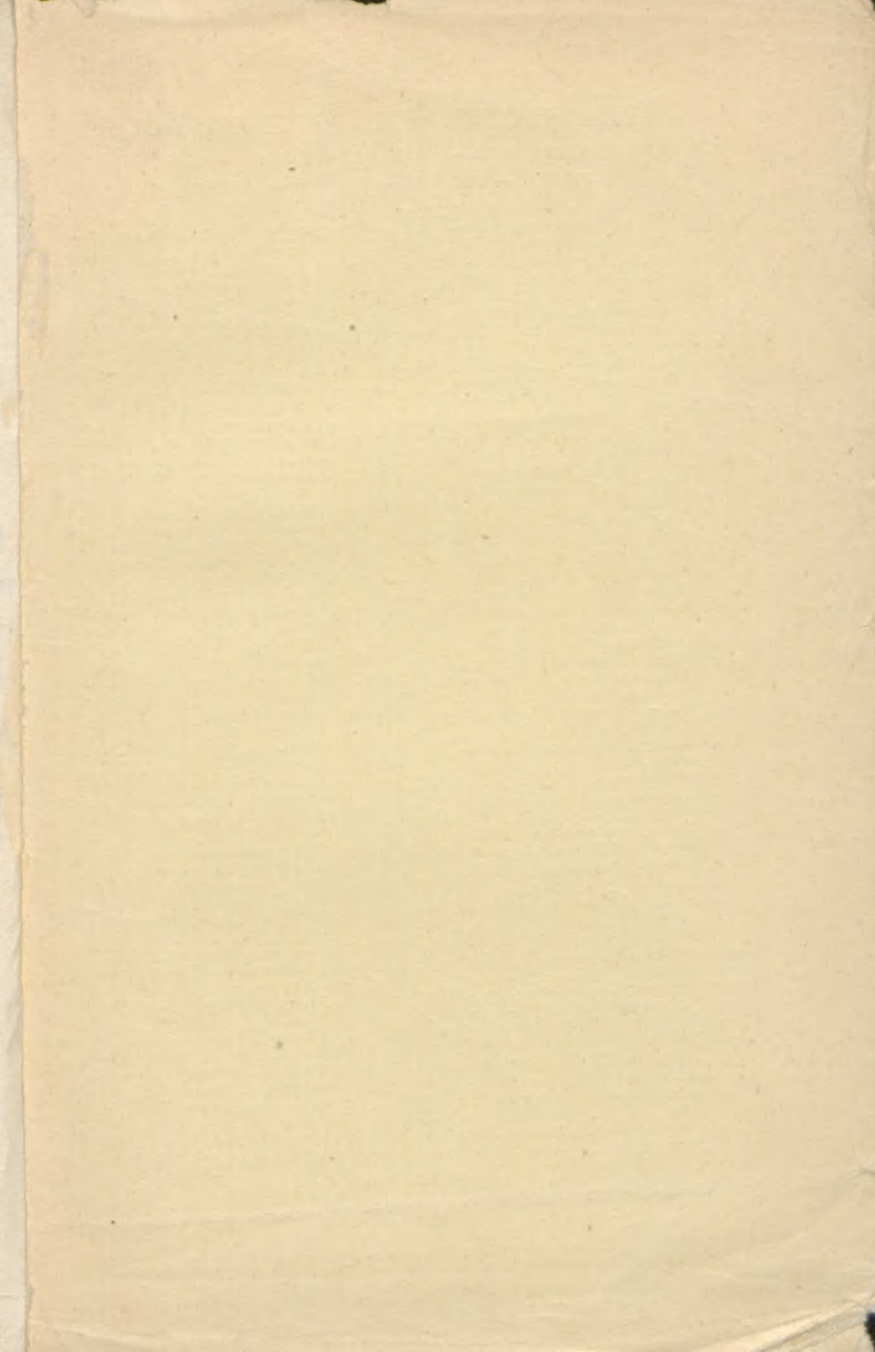
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROZDZIAŁY.

I. MAJOWE NOCE	7
II. NA FRONT!	42
III. SZOSA W PŁOMIENIACH	66
IV. BOHUN	117
V. DYPLMACJA CZY ZDRADA	161
VI. TRZY SŁOWA ZAKOŃCZENIA	183

21-

Ms. 1117/45



<i>Chojnowski P.</i> — Dom w śródmieściu. Powieść	5.—
— Kuźnia. Powieść historyczna z lat 1861 — 1863. Wyd. 2.	5.—
— Młodość, miłość, awantura. Powieść. Wyd. 2	6.—
— O pięciu panach Sulerzyckich. Nowele	5.—
— Rzeczy drobne i zabawne. Z ilustr. K. Mackiewicza.	5.80
<i>Dickens K.</i> — Powieść o dwóch miastach. Przekł. S. Świderskiej	8.—
<i>Ejmond J.</i> — W puszczy. Z przedmową J. Weysenhoffa. Wyd. 2.	4.50
— Żywoty drzew. Druga księga „W puszczy“	4.—
<i>Goetel F.</i> — Egipt. Wyd. 2.	15.—
— Humoreski. Wyd. 2.	5.—
— Kar-Chat. Powieść. Wyd. 2.	4.—
— Ludzkość. Schmerzenreich	
— Cyprian Czyż. Trzy opowiadania. Wyd. 2.	7.80
— Pątnik Karapeta. Kos na Pamirze. Komisia. Samson i Dalila. Nowele. Wyd. 2.	7.80
— Przez płonący Wschód. Z 80 ilustr. Wyd. 2	10.—
— Samuel Zborowski. (Rycerz na Podolu). Sztuka historyczna	6.50
— Serce Lodów. Powieść. Wyd. 2.	10.—
— Wyspa na chmurnej Północy. Z 107 ilustr.	15.—
— Z dnia na dzień. Powieść. Wyd. 2.	5.50
<i>Kisielewski Z.</i> — Amerykanka. Powieść	5.—
— Poranek. Powieść	4.50
<i>Kossowski J.</i> — Ceglany dom. Powieść	8.—
— Kłamca. Powieść	5.—
— Powroty. Nowele.	8.—
— Śmierć w słońcu. Powieść.	8.—
— Zielona Kadra. Nowele. Wyd. 2.	6.—
<i>Lange A.</i> — Nowy Tarzan. Opowiadania wesołe i niewesołe	4.50
<i>Ligocki E.</i> — Noc na Palatynie. Powieść	3.50

czesna. wyd. 2	2.50
— Sen o Dwernickim. Powieść. Wyd. 2	2.50
— Zwid złego ducha. Powieść	4.50
<i>Małuszynski K.</i> — Awantury arabskie. Wyd. 5.	5.—
— Listy zebrane	10.—
— O duchach, diabłach i kobietach. Wyd. nowe zwiększone	3.—
— Śmieszni ludzie. Cztery opowiadania. Wyd. 3.	6.—
— Wycinanki. Wyd. 3	5.—
<i>Nałowska Z.</i> — Choucas. Powieść międzynarodowa	4.50
— Dom kobiet. Sztuka w 3 aktach.	7.—
— Książę. Powieść. Wyd. 2.	7.80
— Niedobra miłość. Powieść	7.50
— Romans Teresy Hennert. Wyd. 2	5.—
<i>Nałowska Z. i Wieb-polska M. J.</i> — Księga o przyjacielach	4.50
<i>Ostrowski J.</i> — Chorągiew na dachu. Powieść	6.50
— Obok życia. Powieść.	3.75
— Sztandar na maszcie. Powieść	5.50
— Ziemia św. Krzyża (Brazylja). Ze 100 ilustr.	15.—
<i>Perzyski Wł.</i> — Dwoje ludzi. Powieść	7.—
— Lekarz miłości. Komedja w 3 aktach	4.—
— Nie było nas, był las. Powieść. Wyd. 2	6.—
— Raz w życiu. Powieść. Wyd. 2	6.—
— Uczniaki. Powieść. Wyd. 2	6.—
— Uśmiech losu. Komedja w 4 aktach	3.50
— Złoty interes. Powieść. Wyd. 2	8.—
— Znamie. Nowele.	5.—
<i>Szpotaniński St.</i> — Prometeusz. Powieść historyczna	9.—
— Przysięga. Powieść.	4.80
— Skradziony rękopis. Powieść	5.—
— Synowie kłeski. Powieść historyczna	7.—

